



Polska między wyborami. Dyskusja

Aleksander Smolar

Co wiemy o politycznej Polsce po wyborach do Parlamentu Europejskiego w maju i przed wyborami do Sejmu i Senatu w październiku 2019 roku? Co z tej wiedzy wynika dla szeroko pojętej opozycji? Oto temat naszej debaty. Spotykamy się pod koniec czerwca, ale zapis ukaże się znacznie później. Nasz cel nie jest więc polityczno-interwencyjny – nie zapraszaliśmy aktywnych polityków – lecz poznawczy. Chcemy na gorąco po majowych wyborach skonfrontować różne opinie, odmienne sposoby analizy i prognozy. Aż tyle i tylko tyle.

Niedawno gościliśmy w Fundacji Batorego Siergieja Guriewa, głównego ekonomistę Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, który mówił o **ekonomii politycznej** populizmu w Europie. Na pytanie, gdzie się znajduje Polska na mapie populizmu, jaką zarysował, Guriew nie potrafił odpowiedzieć ani też nakreślić specyfiki przyczyn naszych zmian po 2015 roku. W 2018 roku podobne pytanie zadał Jacek Żakowski Adamowi Przeworskiemu¹, a następnie Stevenowi Levitsky'emu² – dwóm wybitnym badaczom demokracji i jej upadków. Rzecz interesująca, że oni również nie potrafili wyjaśnić specyfiki polskiej sytuacji i naszego modelu cofania się demokracji. To może być interesujący i godzien refleksji problem, ważny dla opisanie sytuacji w Polsce, na pewno dotąd niezanalizowany w wystarczający sposób, a pokazujący cechy specyficzne: nie było u nas załamania gospodarczego, poziom zadowolenia Polaków z ich życia był bardzo wysoki w momencie zmian 2015 roku. Nie mieliśmy też fali masowej imigracji. A to dwa podstawowe źródła ruchów populistycznych na Zachodzie, do którego należymy.

Zanim przejdziemy do dyskusji, chciałbym na wstępie powiedzieć o paru asymetriach, z jakimi mamy do czynienia.

1 Jacek Żakowski, *Prof. Adam Przeworski o stanie polskiej demokracji*, „Polityka”, 23 stycznia 2018.

2 Jacek Żakowski, *Steven Levitsky: tak umiera demokracja*, „Polityka”, 28 maja 2018.

Przede wszystkim: asymetria wartości i języka. Mówimy ironicznie „dobra zmiana” dla nazwania tego, co się dzieje od wyborów 2015 roku. W istocie posługiwanie się tą nazwą jest wyrazem bezsilności intelektualnej ludzi (a też tendencji), którzy widzą w tym, co się dzieje, zagrożenie dla demokracji i innych osiągnięć ostatnich dekad. Jest też w tym poczucie nieadekwatności różnych nazw używanych tradycyjnie dla opisanego reżimów niedemokratycznych. Częściowo z tych samych powodów akceptujemy negatywną nazwę „anty-PiS”, kiedy można by mówić np. „obóz demokracji”, bo przecież tak się postrzegają partie, które do opozycji należą. Jest w tym zapewne jeszcze jedna przyczyna. W ostatnich latach partie demokratyczne koncentrowały uwagę na losie demokracji, państwa prawa, trójpodziału władzy, sądownictwa, naszych stosunków z Europą czy na gospodarce rynkowej. Mamy obecnie problem z tymi wartościami, bo stały się w jakimś sensie zimne i straciły zdolność mobilizowania, a przecież za te wartości ludzie się bili i ginęli. Jeszcze niedawno mieliśmy masowe demonstracje w ich obronie. Dzisiaj nie tylko w Polsce słabnie apel ludzi upominających się o nie. Jeżeli chodzi o zwolenników Prawa i Sprawiedliwości, to oni mówią przede wszystkim o wspólnotie narodowej i religijnej, o sprawiedliwości społecznej i tradycyjnych wartościach, o pamięci i polityce historycznej, o patriotyzmie. To są wartości gorące dla dużej części społeczeństwa.

Inny podział dotyczy dwóch ważnych pojęć: sprawczości i wiarygodności. Jeżeli chodzi o sprawczość, to PiS ma niewątpliwie dużą przewagę, bo dysponuje władzą, może więc realizować cele, które zapowiada, nawet jeżeli koszty tego okażą się z czasem bardzo wysokie. Z szybkiej realizacji podstawowych obietnic wyborczych wynika też wysoka wiarygodność PiS-u w oczach nie tylko jego wyznawców.

Gorzej z wiarygodnością opozycji. Osłabła siła mobilizacyjna podstawowych cech ustrojowych, których opozycja broni. Nastąpiły z czasem banalizacja i przyzwyczajanie się do polityki PiS-u. Na dodatek działania opozycji są postrzegane często jako forma obrony przeszłych instytucji i pozycji. Stosunkowo mała jest wiarygodność obietnic silnego wzrostu gospodarczego i poprawy warunków życia, bowiem i obecnie mamy dobre wyniki w obu dziedzinach, chociaż można obawiać się przyszłych skutków prowadzonej polityki. Mała jest wiarygodność obietnic utrzymania transferów wprowadzonych przez PiS. Po pierwsze, imitacja zawsze jest niżej ceniona od oryginału. Po drugie, ludzie pamiętają język z przeszłości, co też podważa wiarygodność zapewnień składanych przez opozycję. Po trzecie, Polacy słyszą i pamiętają język pogardy wobec ludu, zwłaszcza w stosunku do głoszących na PiS – język ten jest silnie obecny wśród osób utożsamiających się z opozycją liberalną. Tyle słów wstępu o niektórych problemach, które wykraczają poza analizę wyborczą, a z którymi musi się borykać obóz demokratyczny.

Marcin Król

Zasadnicze pytanie brzmi zatem: co można w sposób radykalny zmienić, tak aby rozpocząć zupełnie nową narrację, która spowoduje odmienne nastawienie i inny kierunek działania? Zaczniemy od filozofii. Otóż wszyscy filozofowie, podobnie jak politycy – filozofowie jawnie, politycy w ukryciu – mają jakiś pogląd na temat ludzkiej natury. Według Prawa i Sprawiedliwości człowiek jest z natury zły, pożyteczny, egoistyczny i zadowolony tym, co mu się daje. Ta zła ludzka natura i wszechobecne zło są obecne w przemówieniach PiS. Reakcja strony przeciwnej, jakkolwiek ją nazwać, także była zła: krytyczna, nienawistna, niechętna. Trzeba poniżyć, dokopać, pokazać błędy itd. Wydaje mi się, że to już jest dla wszystkich nie do zniesienia.

Są, byli i zapewne będą filozofowie, którzy – niekoniecznie tak naiwnie jak Jean-Jacques Rousseau, twierdzący, że człowiek z natury jest dobry – sądzą, że przy pewnym wysiłku można wydobyć z człowieka dobre elementy. W niektórych ujęciach tak uważa chrześcijaństwo i tak sądziło wielu myślicieli, w szczególności liberalnych. Gdyby tak nie uważali, musieliby pójść tropem Thomasa Hobbesa, a nawet myślicieli konserwatywnych, jak Michael Oakeshott, który tłumaczył, dlaczego to Hobbes jest

ojcem liberalizmu. Otóż w moim przekonaniu jedyne, co można teraz zrobić, to odwrócić wszystko do góry nogami, czyli zaprzestać sporu z PiS-em. Trzeba odnotowywać kłamstwa, bo to jest konieczne, ale zaprzestać wchodzenia z nimi w kontakt.

Trzeba rozpocząć kampanię, która będzie skierowana przede wszystkim do jednostek, czyli do środowiska naturalnego, społecznego i politycznego pojedynczych ludzi. To jest, innymi słowy, oparte na przekonaniu, że można w ludziach wzbudzić dobre intencje. Jeżeli w jednostkach wzbudzi się dobre intencje, to być może te jednostki będą chciały ze sobą współpracować dla realizacji dobrych celów. W moim przekonaniu każde negatywne założenie – przekonanie, że ludzie są głupi i podli – jest w tej chwili działaniem nonsensownym. Trzeba działać w imię przekonania, że ludzie mogą być dobrzy i mogą nie być podli oraz że zechcą ze sobą współpracować. To może przynieść zupełnie zaskakujące skutki. Ludzie chcą współpracować i oczekują, że będą uważani za dobrych.

Podsumowując: uważam, że retoryka opozycji – nie lubię słowa „narracja”, bo ono nic nie znaczy – powinna z retoryki krytyczno-agresywno-negatywnej przestawić się na liberalno-komunitariańską. Oferta akceptowalna dla jednostek przeistoczy się w ofertę istotną dla wspólnot. Mówię o wspólnotach, a nie o społeczeństwie obywatelskim. Ta różnica jest istotna. Społeczeństwo obywatelskie jest pomysłem liberalnym, a wspólnoty – komunitariańskim. Jestem tu znacznie bliżej komunitarian niż liberałów.

Na koniec jedna uwaga. Należę do stowarzyszenia Czysty Drelów, gdzie walczyliśmy z właścicielami ferm kurzych. To jedna z najgorszych form zatrucia Polski. Nasz kraj produkuje dwa razy więcej kurczaków niż cała Europa razem wzięta, co jest trujące w sposób karygodny. Życie kilometr od czegoś takiego naraża na raka. Dlaczego o tym wspominam? Dlatego, że wszyscy członkowie tego stowarzyszenia są przeciwko PiS. To ono wygrało i nie dopuściło do zainstalowania ferm kurczaków. Przepraszam, jeśli to brzmi naiwnie. Propagujmy z umiarkowanymi nadziejami dobro. Zaniechajmy zła i starcia z przeciwnikiem. To się dopiero przeciwnik zdziwi, jak nie będziemy bez przerwy z nim polemizować.

Andrzej Rychard

Zgadza się, że wartości demokratyczne straciły zdolność mobilizowania. Uważam, że głównym celem powinno być przywrócenie siły mobilizacyjnej wartości demokratycznych. Wśród zaleceń praktycznych, jak działać, są dwie kontrproduktywne. Według pierwszej opozycja jest do niczego i trzeba wszystko zmienić – szczególnie liderów natychmiast wymienić na nowych. Druga zachęca, aby pozwolić PiS porządzić, aż się wykrwawia. Obydwie są demobilizujące i niepraktyczne.

Aby przywrócić mobilizującą rolę wartościom demokratycznym, trzeba przestać być reaktywnym i zacząć być kreatywnym. Krótko mówiąc, trzeba przestać myśleć o PiS-ie, a zacząć myśleć o Polsce. Tak naprawdę nie znajdujemy odpowiedzi na pytanie, dlaczego opozycja chce pokonać Prawo i Sprawiedliwość, poza zaklęciami o przywróceniu zdemobilizowanych wartości typu demokracja. Opozycja musi zacząć grać swoją grę i przejść od celu „wygrać wybory” na „przedstawić założenia programu, za pomocą których można zmobilizować poparcie”. Kto wie, czy strategia, która nie jest nastawiona bezpośrednio na wygranie wyborów, a raczej na zaprezentowanie kreatywnego programu, nie okazałaby się paradoksalnie bardziej skuteczna niż wyłącznie reaktywna strategia „jak dokopać PiS”. Przedstawione cele programowe musiałyby dotyczyć zdrowia, edukacji i spraw klimatyczno-rozwojowych. Nietrudno znaleźć takie dwa-trzy cele. Rzecz w tym, że trzeba je tak zwerbalizować, aby trafiły nie do społeczeństwa obywatelskiego, ale do konkretnego człowieka.

Dlaczego Prawo i Sprawiedliwość wygrało? Między innymi dlatego, że potrafiło powiązać politykę z bezpośrednią sytuacją jednostki i człowieka. Program 500+ jest hasłem o wiele bardziej przemawiającym

do jednostki niż „przyjdziemy i zrobimy reformę służby zdrowia”. Wiadomo, że reforma służby zdrowia była robiona wielokrotnie i nigdy nic z tego nie wyszło. Trzeba przełożyć wartości na język trafiający do jednostki i mieć to coś, co będzie się prezentowało ludziom.

Opozycja przejęła się tym, że PiS tak dobrze rozpoznał sytuację, potrafił powiązać *big data* z *micro data* i zrobił *door-to-door campaign* (choć to raczej nie było „do drzwi”, tylko do lokalnych wspólnot). Ta kampania była dobrze i precyzyjnie zaplanowana, a teraz opozycja powinna zrobić coś podobnego. Jednak jeżeli będzie się pukało do drzwi, to jest niebezpieczeństwo, że co setne drzwi się otworzą, i trzeba coś powiedzieć temu, kto za nimi stoi. Trzeba powiedzieć coś, co będzie nazwaniem zdemobilizowanych wartości o charakterze demokratycznym w języku trafiającym do człowieka. Jak to zrobić? Nie wiem, ale jest jeszcze trochę czasu.

Anna Gromada

W pierwszej kolejności musimy zrozumieć, dlaczego Prawo i Sprawiedliwość rządzi. Chciałabym zaproponować cztery ramy: ekonomia, kultura, zarządzanie organizacją i inherentne różnice w wartościach między prawicą a lewicą.

Pierwsza jest rama ekonomiczna. Możemy spojrzeć na wyborców PiS-u jako na ludzi racjonalnych, którzy realizują swój interes ekonomiczny. Często błędy statystyczne w Polsce polegają na patrzeniu na średnią, a nie na medianę zarobków. Ona w Polsce wynosi około 2,5 tysiąca złotych. To znaczy, że dla co najmniej połowy ludzi – tych, którzy załapali się na 500+ i na lepsze warunki pracy – jest to realny skok do przodu. To są racjonalni ludzie, którzy realizują własny interes ekonomiczny.

Druga kwestia to różnice kulturowe. Wydaje mi się, że w 2019 roku w Polsce tożsamość narodowo-katolicka jeszcze nie wykształciła konkurencji, która byłaby porównywalnie sensotwórcza, wspólnototwórcza i wartościotwórcza. Kiedy mamy jedną dominującą tożsamość i mnóstwo z nią rywalizujących, które powoli rosną w siłę, ludzie wyznający dominującą tożsamość mogą poczuć się zagrożeni. Jak uczy psychologia behawioralna, lęk przed utratą jest o wiele silniejszy niż radość z pozyskania czegoś. Kiedy ludzie czują się zagrożeni, po prostu chronią coś, co jest ich podstawową tożsamością. Tutaj wracamy do wspólnoty. Jeszcze łatwiej tych ludzi zapędzić w kozi róg, jeśli nie uznajemy ich *ex cathedra*, więc oni nie mają żadnego interesu w tym, aby odpowiadać na nasze próby nawiązania kontaktu. Dyskwalifikowanie na starcie nie pozostawia możliwości wycofania się z twarzą.

Trzecia rama to teoria organizacji. W latach 90. XX wieku marketing i zarządzanie zostały w Polsce zdyskredytowane. Kiedy coś obśmiewamy, to nie edukujemy się w tej dziedzinie i mamy zaległości. Spójrzmy na chwilę na PiS z punktu widzenia czystej efektywności ekonomicznej, abstrahując od sądów etycznych. Nie jest to obiektywnie dobrze zarządzana firma. Jednak jest lepiej zarządzana niż konkurencja, a to w dusznym obiegu zamkniętym, jakim jest polskie życie polityczne, w zupełności wystarczy. W wyborach parlamentarnych przy tym samym budżecie, co Platforma Obywatelska, PiS zdobył o połowę więcej głosów. W wyborach samorządowych miał rekordowo dużo chętnych do kandydowania. Wykorzystywał *big data*, chodził od drzwi do drzwi, dotarł z plakatami do niemal każdej wioski. Te wysiłki nie rzucają się tak w oczy w Warszawie, ale w regionach robią kolosalną różnicę.

To ważne, bo inteligencja w każdym kraju ma tendencję i zasoby do promowania swojej optyki. Dlaczego w Polsce jest to bardziej problematyczne niż gdzie indziej? W przeciwieństwie do Londynu, gdzie mieszka kilkanaście procent Brytyjczyków, albo do Paryża i rejonu Île-de-France, które zamieszkuje co piąty Francuz, w naszej stolicy mieszka co dwudziesty Polak. I to sprawia, że musimy być szczególnie uważni w ekstrapolacji tego, co nam się wydaje.

Element konceptualny numer cztery, najbardziej filozoficzny, wynika z inherentnych wartości lewicy i prawicy. Wiemy, że ludzie, którzy ciągną do jednego z tych biegunów, są bardziej skłonni cenić określone wartości. Na przykład ludzie na prawicy bardziej cenią porządek, hierarchię, tradycję, a na lewicy – równość czy sprawiedliwość. To może oznaczać, że łatwiej zarządzać ludźmi, którzy cenią porządek, niż tymi, którzy cenią równość.

Na koniec chciałabym dodać jeszcze jedną asymetrię do tych przytoczonych przez Aleksandra Smolara: między tym, co inteligencja myśli o sobie samej, a tym, co myśli o niej lud. Niesiemy w sobie przekonanie, że naszą rolą jest edukowanie. I to jest niebezpieczne. Przegapiliśmy moment w historii, odkąd lud nie chce być edukowany, tylko pragnie być radykalnie uznany. Oznaczałoby to, że próba powrotu do *status quo ante* – czyli niesienia kaganoka oświaty – musi budzić sprzeciw z samych trzewi. Być może jest to jeden ze skutków radykalnej demokracji: ludzie nie chcą podziału na edukujących i edukowanych, tylko uważają, że platformą dialogu jest radykalne uznanie.

Ludwik Dorn

Zacznę od kwestii diagnozy. Co nowego dowiedzieliśmy się w wyniku wyborów do Parlamentu Europejskiego? Element pierwszy jest znany i opisany, a dotyczy godności. Same transfery socjalne dają paliwo, ale niekoniecznie muszą spowodować ruch do przodu. Jak mówił Max Weber, są *material interests* i *ideal interests*, a dopiero ich połączenie daje impuls do zmian. Zgadzam się, że wartości państwa praworządnego, liberalnego, demokratycznego straciły siłę mobilizacyjną. Po drugiej stronie jest wspólnota narodowa i można powiedzieć, że w wyborach europejskich to Prawo i Sprawiedliwość zaprezentowało wizję wspólnoty: zagrożonej z zewnątrz, przeciwko której działają też agenci wewnętrzni. Problem polega na tym, że druga strona w ogóle nie mówi językiem wspólnotowym.

Była tu mowa o „obozie demokratycznym”, ale pojawia się też określenie: „obóz III RP”. Tymczasem III Rzeczpospolita rozumiana jako wspólnota losu i życiorysów została opuszczona w wyborach 2015 roku. Nikt jej nie bronił, co najwyżej mówiono, że mieliśmy jakieś osiągnięcia, cieszyliśmy się, że tyle razy wzrósł dochód narodowy.

Kiedyś wpadłem na pomysł, aby po prostu odpowiedzieć na PiS-owską politykę historyczno-wspólnotową obroną III RP poprzez obywatelski projekt inicjatywy ustawodawczej, to znaczy ustanowienia 4 czerwca świętem państwowym. Moim zdaniem można było zebrać do miliona podpisów. Groch nie wydrążył ściany, a chodziłem z tym wszędzie, gdzie mogłem. Innymi słowy, anty-PiS-owska opozycja opuściła wspólnotę losu, którą współtworzyła. Nie była w stanie – i po dziś dzień nie jest w stanie – mówić językiem wspólnotowym. Gdzie są elementy wspólnotowe? Nie ma. Jeśli przez trzy i pół roku ich nie było, to w ciągu paru miesięcy się nie narodzą, co trzeba przyjąć do wiadomości.

Elementem dodatkowym jest nowy polityczny podział Polski, którego PiS nie wymyślił, ale ten podział pchnął go do przodu: podział na metropolie i wszystko to, co sytuuje się poza nimi. To wynika z twardych danych wyborczych. Tutaj nie działa zmienna kulturowo-religijna, bo po tyle samo punktów procentowych przyrosło w pobożnym Kraśniku na Lubelszczyźnie, co w Kamieniu Pomorskim, a to najbardziej zlaicyzowana diecezja w Polsce. Oczywiście PiS nie uzyskał w Kamieniu Pomorskim przewagi, ale przyrost był. Wszędzie – poza metropoliami – wzrosło poparcie dla PiS. Na jakiej zasadzie? Polska prowincja nie ma już problemu z „Warszawką” i rządem centralnym, ale z metropoliami, do których należy też Warszawa. Ten problem ma dwa wymiary: społeczno-gospodarczy i kulturowy. Wymiar społeczno-gospodarczy polega na poczuciu, że prowincja dla metropolii jest zasobem siły roboczej, dla którego szczytem aspiracji jest migrowanie do metropolii i zajęcie pozycji „słoików”. Wymiar kulturowy najlepiej opisać poprzez reakcje na metropolitalne Parady Równości pod patronatem prezydentów.

Reakcją większości prowincji jest niepokój: to są parady dziwołagów, a ci w metropoliach chcą całą Polskę, w tym nas, przerobić na kraj dziwołagów. Gdy się jeździ po Polsce, można wyczuć tę niechęć.

Co my, gadające głowy z telewizji, objaśniacie rzeczywistości, mielibyśmy robić? Otóż moim zdaniem przez najbliższe parę miesięcy nic. Dlaczego? Jeśli nie można zrobić nic, co wpłynie na rzeczywistość, to będzie się robić tylko rzeczy niepotrzebne albo niemądre. Przez trzy i pół roku po stronie opozycji nic się nie urodziło. Żadna partia nie odrobiła lekcji. W ciągu czasu, który pozostał do wyborów, nie powiem złego słowa o opozycji. Ale trzeba mieć na uwadze to, co będzie po wyborach. Nasz wpływ na wynik wyborów będzie żaden. Może być znaczny na to, co po stronie nie-PiS-owskiej będzie się działo po wyborach, zwłaszcza jeśli PiS ich nie przegra w sposób wyraźny lub nawet wygra. Dlatego gadające głowy zrobią najlepiej, jeśli będą inwestować w przyszłość i wskazywać na PiS-owskie deficyty, przede wszystkim deficyt rozwojowy.

Prawo i Sprawiedliwość całą politykę rozwojową sprowadziło do europejskiego portfela, co musi się skończyć potężnym rozczarowaniem. Jest potrzebne po stronie nie-PiS-owskiej coś, co będzie brzęczało koło ucha, nawet jeśli w późniejszej kampanii wyborczej nikt na to nie zwróci uwagi. Ale kiedy przez następne cztery lata opozycja będzie się przeformułowująca, to mogą wypłynąć kwestie teraz podniesione. Pojawi się głód idei. Wzrośnie znaczenie objaśniaczy rzeczywistości. Teraz nie warto nic robić w sensie grupowego bezpośredniego zaangażowania politycznego. Bo będzie tak, jak to w latach 60. ubiegłego wieku mówił Stefan Kisielewski o próbach wpłynięcia przez „Tygodnik Powszechny” na relacje komuniści-Kościół: „Stomma z Turowiczem piszą memoriały, smrodu z tego dużo, a pożytek mały”.

Krystyna Skarżyńska

Nasze społeczeństwo jest pogrążone w destruktywnym konflikcie, który obejmuje wiele sfer życia, jest obliczony na zwalczanie rywala i niszczy Polskę. Kim są strony tego konfliktu? Można różnie odpowiadać na to pytanie. Mam wyniki badań, które mówią, że to konflikt między grupami społecznymi, ale nie jest on tak dramatyczny, jak to przedstawiają elity, które jedzą całkiem smaczny chleb z jego wyostrzenia.

Gdyby myśleć konstruktywnie o programie pozytywnym nawiązującym do źródła tego konfliktu, to potrzebne jest klarowne wyobrażenie demokratycznej wspólnoty. Rozumiem, dlaczego przez lata nie mówiło się o tej wspólnoty. Liberalna demokracja jest przesiąknięta indywidualizmem i nie pamięta się o tym, że wyobrażenie demokracji może być połączeniem liberalno-wspólnotowym czy liberalno-komunitarnym. Na podstawie badań widać, że ludzie pytani o wyobrażenie dobrego państwa mieszają wyobrażenie wspólnoty liberalnej z komunitarną, czyli chcą zarówno wolności jednostki, jak i łączności z innymi, troski i solidarności. Powtarzany od 2005 roku slogan „Polska liberalna *versus* Polska solidarna” istnieje bardziej w głowach polityków niż w mentalności obywateli. Polska może być i taka, i taka. Na podstawie wyników badań widać, że to się da połączyć. Jedynie elektorat PiS jest wspólnotowy (w sensie komunitarny) i zdecydowanie antyliberalny. Wszystkie pozostałe są do siebie podobne: łączą (w różnym stopniu) wyobrażenie dobrej wspólnoty jako i liberalnej, i komunitarnej. Kiedy się patrzy na dwa pozornie kompletnie różne elektoraty – Razem i .Nowoczesnej – to one także są do siebie bardzo podobne w wyobrażeniu mieszanki indywidualnej wolności i podmiotowości oraz solidarnej wspólnoty³.

Inne nasze badania potwierdzają, że zwolennicy Prawa i Sprawiedliwości opierają swoje sądy moralne przede wszystkim na tym, co dobre dla grupy lub wskazane przez ich autorytety; natomiast dla

3 Wyniki te są replikowane w latach 2016–2018 w badaniach Piotra Radkiewicza i Krystyny Skarżyńskiej.

elektoratu Platformy Obywatelskiej, .Nowoczesnej, Korwin-Mikkego, Razem i Kukiza'15 istotniejsze są kryteria indywidualistyczne: troska/krzywda oraz sprawiedliwość (jako równość szans). Można powiedzieć, że tu właśnie przebiega linia dzieląca zwolenników aktualnej władzy od zwolenników opozycji.

Zgodnie z badaniami europejskimi (EVS) – o czym może więcej powiedzieć Mirosława Marody – Europa przesuwa się w tym jednym wymiarze od bezpieczeństwa czy materializmu do ekspresji siebie. W Polsce to także obserwujemy. Natomiast Europa przesunęła się również w drugim wymiarze, czyli od tradycji do państwa racjonalno-świeckiego, a tutaj Polska się zatrzymała. W różnych edycjach naszych badań widać, że Polska stoi w miejscu. Ostatnie wybory pokazały, jak ważny jest wymiar tradycyjno-narodowy i rola religii w idei wspólnoty. Tego nie wolno pominąć. Można powiedzieć, że jeżeli chce się zdobyć wyborców, to należałoby tak robić kampanię, aby mówić o państwie, które może łączyć te dwa wyobrażenia (komunitarne i liberalne) o demokratycznej wspólnotcie. Problemem jest to, że elity liberalne po prostu nie potrafią mówić językiem, który dociera do ludzi.

Wielkiego sensu nie ma też używanie w kampanii wyborczej słowa „demokracja” (zgadzam się z Aleksandrem Smolarem, że odwoływanie się do tego pojęcia straciło wartość mobilizacyjną). Jak demokracja jest rozumiana? Jeżeli dwie orientacje mentalne – liberalną i komunitarną – potraktujemy m.in. jako odrębne wyobrażenie wspólnoty, to jednak wspólne jest dla nich poparcie dla demokracji. Obie strony konfliktu uważają, że to dobry system, a nawet najlepszy. Ale jeżeli chodzi o akceptację pryncypiów demokracji liberalnej, np. o prawa człowieka, to nie są one ważne dla ludzi o orientacji silnie komunitarnej (dla zwolenników PiS). Czym bowiem jest demokracja dla skrajnych zwolenników wspólnoty komunitarnej? To takie urządzenie państwa i społeczeństwa, gdzie ważne są przede wszystkim tradycyjne wartości narodowe i religijne, czyli – jak to powiedział Aleksander Smolar – „zwrócenie w przeszłość”. Jest to kompletnie sprzeczne z wizją liberalną, ale tego w kampanii wyborczej nie zmienimy. Trzeba mówić o tym, co chcemy zrobić z państwem, aby się wytwarzało wspólne dobro: jednostek i wspólnoty, wolność i solidarność.

Ktoś powiedział, że można zmieniać zachowania, przyciągać do wspólnych działań, to wtedy może zmieniać się wartości. Moim zdaniem możliwy jest też inny kierunek oddziaływania: poprzez odwoływanie się do szerszej bazy wartości w narracji społecznej. Istnieje sporo badań psychologicznych, eksperymentalnych, według których kiedy się człowiekowi pokazuje, że on tak naprawdę nie jest jednostronny, myśli i na prawo, i na lewo, i wspólnotowo, i indywidualistycznie, to staje się bardziej skłonny, aby wchodzić w różne akcje społeczne, obywatelskie, *stricte* polityczne i pomocowe, nie tylko na rzecz osób z grupy własnej. Myślę tu o badaniach nad „wspólną ramą wartości”, które zapoczątkował amerykański psycholog Shalom Schwartz.

Mirosława Marody

W tego typu dyskusjach wskazywane są zazwyczaj dwa sposoby na rozwiązanie problemów, które dręczą nasze społeczeństwo. Pierwszy polega na wymianie polityków, drugi – na zmianie społeczeństwa. W drugim wypadku mówi się o zaniedbaniach edukacyjnych. Chciałabym wystąpić w obronie społeczeństwa. Nie jest tak źle, jak by się wydawało. Jesteśmy zauroczeni danymi, jakimi szermują ośrodki badania opinii publicznej, gdzie są odrzucane braki danych, czyli wszyscy ci, którzy nie odpowiedzieli. Zazwyczaj analizuje się bardziej szczegółowo pozycje ekstremalne. Ostatnio analizowałam wymiar lewicowość–prawicowość i wyszło tak, jak „powinno”: prawica brzydka i w ogóle nie do przyjęcia, lewica ładniejsza. Dopiero pisząc podsumowanie, zorientowałam się: przecież w środku jest centrum, które liczy jakieś czterdzieści kilka procent, a poza tym jedna czwarta osób nie odpowiedziała na to pytanie. Kiedy zaczęłam to liczyć, okazało się, że mniej więcej 56% próby w ogóle nie mieści się w ekstremach, które tak pracowicie analizowałam.

Wydaje mi się, że nasze dyskusje są zdominowane przez retorykę, która została tak utrwalona, że nie sposób jej rozbić. Ciągłe mamy przewagę tożsamości narodowo-katolickiej. Tak, ale ta przewaga jest niewielka, a trwa, bo nie ma żadnej alternatywy. Jeżeli chodzi o to, co nazywa się tutaj grupą pro-PiS-owską czy prawicową, można jej wielkość szacować różnymi wskaźnikami: to jest od 16 do 25, góra 30%. Kiedy się przeliczy procenty z ostatnich wyborów, uwzględniając odsetek głosujących i uzyskane wyniki, to będzie jakieś 25%. A zatem istnieje olbrzymie pole do zagospodarowania, o którym nic nie wiemy. To po pierwsze.

Po drugie, chciałabym opowiedzieć, czego się dowiedziałam o tym środku. Ci ludzie nie są zainteresowani walką między PiS a PO ani w ogóle polityką i partiami. Im jest naprawdę wszystko jedno, kto będzie rządził. Uważają, że państwo tylko przeszkadza, a sami by sobie lepiej dali radę. Trudno powiedzieć, jak głęboko została wpojona przez te 30 lat liberalna ideologia rozumiana w tym sensie, że człowiek jest kowalem własnego losu i jego sukces zależy od niego, ale ludzie naprawdę mocno to sobie przyswoili. Czego chce człowiek, który nie jest zdecydowanie PiS-owski, nie chodzi na procesje i nie mówi „nasza Beatka”? Tego samego, co zwolennicy PiS-u: chce ekonomicznego rozwoju kraju, bo na tym wszyscy korzystają. Według badań, do których się odwołuję, dwukrotnie wzrosły tzw. aspiracje wolnościowe. Nawiasem mówiąc, Platforma Obywatelska jest partią popieraną przez centrum i umiarkowaną lewicę. Istnieje olbrzymia, niewidoczna część społeczeństwa, którą można byłoby poruszyć. Czy ktoś jest w stanie to zrobić? Niestety, politycy są oporni na rady ekspertów.

Oprócz ankiety przeprowadzaliśmy wywiady grupowe. Wtedy pojawiają się trochę inne rzeczy. Mimo iż grupy fokusowe były dobrane wedle kryterium preferencji wyborczych – czyli wyborcy PO i PiS – to one są nieodróżnialne w przebiegu dyskusji. Dlaczego? Ci ludzie mówią o normalnych sprawach, które ich gnębią i interesują. Można się dowiedzieć, że najbardziej gnębi ich instytucjonalna degrengolada państwa, a w szczególności służby zdrowia i edukacji.

W moim przekonaniu Jarosław Kaczyński postawił pierwszy krok do spektakularnej szarży w momencie, kiedy wprowadził rozróżnienie na lepszy i gorszy sort. Ludzie chcą wiedzieć, czy są lepsi albo gorsi. Centrum nie ma żadnego kryterium, które pozwoliłoby im powiedzieć o sobie, że są lepsi. Efekt jest taki, że oni najbardziej atakują to, co powszechnie jest uważane za zdumiewający i podstępny, ale efektywny trik PiS-u, mianowicie politykę socjalną. Nasi badani nienawidzą 500+, mimo że je sami dostają. Program 500+ zatarł różnice między tymi, którzy własnymi rękoma osiągnęli sukces i wyższą pozycję, a tymi, którzy są gnuśni, nieambitni, wstają późno, no ale dzieci robią, w związku z czym mogą mieć równie dobre życie, jak ci pierwsi. Oczywiście nikt z badanych nie odda 500+, natomiast z ich reakcji wynika jednoznacznie, że zmiana retoryki powinna obejmować stwierdzenie: „ludzie, jesteście wspaniali, tyle zrobiliście przez te 30 lat, tak daleko zaszliście i znakomicie wykorzystaliście możliwości”.

Nikt tego nie mówi społeczeństwu polskiemu. Mówi się, że wspaniali byli „żołnierze wyklęci”, że mamy wspaniałe tradycje historyczne, ale nikt nie mówi, że Polacy tu i teraz są wspaniali. Nikt ich nie chwali. To społeczeństwo w całości nadaje się do psychoterapii, ponieważ ma głębokie poczucie niskiej wartości. Nikt nie czeka na programy wyborcze. Chodzi o to, aby uznać w ludziach, że tyle osiągnęli, i powiedzieć: „my wam pomożemy osiągnąć więcej niż tamci”. Ta obietnica byłaby dla ludzi niezmiernie ważna.

Gdyby któryś z polityków Platformy Obywatelskiej wyszedł przed Sejm i porozmawiał z dziewczynką, która tam siedzi w związku z katastrofą ekologiczną, to byłby pierwszy krok do zmiany defetystycznej atmosfery „na pewno przegramy”. Nie ma nic pewnego na świecie.

Andrzej Waśkiewicz

Każdy jest przywiązany do kilku bon motów, które powtarza do znudzenia. Ja powtarzam, że w Polsce nie wygrywa się wyborów, tylko się je przegrywa. Niewiele potrzeba opozycji, aby wygrać z rządem po jego ekscesach władzy; wystarczy obiecać, że przywróci się normalność. Ten program sprawdzał się przez 30 lat w różnych wariantach. Wynik wyborów w 2015 roku jest tego również dobrym przykładem. Zwyciężyli ci, którzy chcieli „odbudować” czy „przywrócić” normalne państwo. Prawo i Sprawiedliwość nie tylko stworzyło wokół swojego programu wspólnotę wsobną i wykluczającą, ale także przywróciło sens pojęciu reprezentacji. Niestety, zrobili to, co obiecali. Każdy rozsądny rząd po zwycięstwie wyborczym powiedziałby: „Nasi poprzednicy zostawili kraj w opłakanym stanie. Nie wiedzieliśmy tego, nie możemy więc obniżyć wieku emerytalnego, bo to grozi katastrofą”. A oni to zrobili, nie patrząc na konsekwencje. Złamali niepisaną znowę elit, jaką zakłada Schumpeterowska teoria demokracji. Ta znowa ma też wymiar normatywny: każe elitom powstrzymać się przed nieodpowiedzialną – w długiej perspektywie – polityką. I elity są do tego zdolne, bo – jak zakłada Schumpeter – nie są mocno związane ze swoimi elektoratami. Ale PiS jest – i w tym sensie to ugrupowanie przywróciło sens reprezentacji.

Była tu już mowa o ramach konceptualnych dla tego procesu. Ja je znajduję w ważnym tekście Jane Mansbridge *Rethinking Representation* z 2003 roku⁴. To studium poparte solidnym badaniem empirycznym (wywiadami z politykami). Mansbridge analizuje tam reprezentację na różnych szczeblach amerykańskiej polityki. Jej zdaniem zmienia się ona teraz radykalnie i przybiera cztery formy. Jedną z nich jest reprezentacja żyroskopowa. Tego typu reprezentanci niczego nie obiecują, tylko mówią: „Jesteśmy tacy, jak wy. Nie musimy artykułować żadnego programu, jesteśmy po prostu swojakami. Możecie się po nas spodziewać tego, czego po sobie samych”. Nie ma tutaj żadnego napięcia ani oczekiwania. Mówiąc brutalnym językiem: „Wiemy, że politycy, którzy nas reprezentują, to sk...syny, jak wszyscy politycy, ale to nasze sk...syny. Kradną, ale też dają”. Kiedyś wydawało mi się, że każda ekipa rządząca przegrywa wybory ze względu na patologie swoich rządów. W tym przypadku: program deklarowanej sanacji okaże się fikcją, a elektorat PiS-owski szybko zobaczy, że to takie same sk...syny, jak poprzednicy.

Ale jeśli ta reprezentacja ma charakter żyroskopowy, to elektorat będzie wyjątkowo lojalny – nie wiemy tylko, jak bardzo. Ten elektorat niewiele oczekuje od władzy, toteż i wiele jej wybacza. Elektorat liberalny nie jest tak lojalny, co wiemy po 2015 roku, kiedy Platforma Obywatelska straciła wielu wyborców na rzecz .Nowoczesnej, bo swoimi ekscesami przekroczyła ich próg wytrzymałości.

Jaki jest elektorat PiS? Oprócz tego żelaznego, uwarunkowanego kulturowo, jest też elektorat socjalny, zabrany lewicy. Z rozmów z różnymi ludźmi ze swojego środowiska, którzy trochę wstydliwie, ale jednak deklarują poparcie dla PiS, wiem, że ta partia jawiła im się też jako siła modernizacyjna. Mówią tak: nie najlepiej skończył się projekt modernizacji Europy liberalnej, bo wpadliśmy w pułapkę średniego rozwoju. Rozwój liberalny pokazał tutaj swoje granice. Mówią więc, że historia się powtarza: II Rzeczpospolita największe sukcesy zawdzięczała etatystycznej polityce gospodarczej końca lat 30. XX wieku. Teraz też możemy się rozwijać dzięki wielkim inwestycjom państwowym. To nie wolny rynek, ale interwencjonizm sprzyjał sukcesom gospodarczym różnych gospodarczych tygrysów. Ten wątek: „PiS jako partia modernizacyjna” jest lekceważony, moim zdaniem niesłusznie. Nieprzypadkowo „naszą Beatkę” zastąpił bankier, który językiem modernizacji mówi równie płynnie, co językiem „naszości”.

O jaką modernizację chodzi? Nazwałbym ją „wyspową”. Jarosław Kaczyński czasem wypowiada się ciepło o Bawarii, choć powinien raczej wskazywać na... Izrael. Jest to państwo tak modernistyczne, jak

4 Jane Mansbridge, *Rethinking Representation*, „The American Political Science Review” 2003, nr 4, t. 97, s. 515–528.

to konieczne, i tak tradycyjne, jak to możliwe. Godzi obyczajowy konserwatyzm części społeczeństwa i najnowocześniejszą technikę. Łączy tradycję i nowoczesność. Czy nie o tym mówi często premier Morawiecki? A do tego – co równie ważne – Izrael jest państwem frontowym, dokładnie tak jak Polska, wciśnięta między odwiecznych wrogów.

Moim zdaniem jedyny elektorat, który można odebrać PiS-owi, to ci etatystyczni wyborcy modernistyczni. Nie należy więc prześcigać się w obiecywaniu kolejnych świadczeń, bo w tym opozycja nie przebiję rządu. Opozycja musi przedstawić wyborcom inną wersję modernizacji i ją przeprowadzić. Ten projekt musi zakładać społeczny współdziałanie. Naturalnymi sojusznikami opozycji są tu samorządy i organizacje pozarządowe. Etatyżacja daje się im wszystkim we znaki, toteż nietrudno będzie je pozyskać.

Etatyzm to jedyna żywa polska tradycja polityczna, ale minione 30 lat pokazało, że już istnieje społeczna baza i poparcie dla polityki nieetatystycznej i takiej też modernizacji. Modernizacji dla przyszłych pokoleń, nie na potrzeby zwycięstwa w drugiej kadencji.

Jacek Haman

Zacznę od czegoś bardziej optymistycznego. Gdyby wyniki wyborów do Sejmu były takie same – jeśli chodzi o wielkość poparcia dla poszczególnych partii – jak wyniki wyborów samorządowych w 2018 roku, to podział mandatów w Sejmie byłby prawie dokładnie pół na pół. Jeżeli po wyborach samorządowych ten symulowany układ wyglądałby inaczej, to znaczyłoby, że ktoś po wyborach samorządowych lekcję odrobił lepiej, a ktoś gorzej. Ale być może da się tę lekcję odrobić lepiej. To nie jest długotrwały proces. Gdyby ostatni rok przepracować inaczej, wyniki wyborów mogłyby być inne. To jest do nadrobienia w rok, a nie wiek. Wybory – nie wiem, czy najbliższe – są dla opozycji do wygrania.

Istnieją jednak dwa problemy. Przede wszystkim trzeba się zacząć uczyć na własnych błędach i na sukcesach innych. Do wyborów należy pójść z programem, który będzie przełożony na konkrety. Do wyborów nie idzie się po to, aby kogoś odsunąć od władzy, tylko żeby zrobić coś konkretnego. Jednocześnie trzeba odrobić lekcję związaną z klęską 2015 roku. Przypominam, że wtedy ponad milion wyborców zagłosowało na .Nowoczesną, chociaż wiedzieli, że to oznacza rozpaczliwy głos protestu. Czy ktoś się zastanowił, czy przez te lata ci, którzy nie głosowali wtedy na Platformę, tylko na .Nowoczesną, zyskali powód, aby jednak głosować na PO lub jakichś jej następców? Czy .Nowoczesna zachowała swoją wiarygodność? Boję się, że odpowiedzi na oba pytania są przeczące. Trzeba wrócić do tego, co było wtedy, i zastanowić się, co spowodowało ten spadek wiarygodności. Bez zastanowienia, co jest źródłem wiarygodności, a co przyczyną jej braku, nawet najlepszy pozytywny program nie pomoże, ponieważ nie będzie wiarygodny. Trzeba wyjść z pozytywnym programem, ale również zastanowić się nad tym, co zrobić, aby on był wiarygodny, bo nie przyjdą nowi ludzie, którzy mieliby ten program realizować.

Jacek Żakowski

Wydaje mi się, że mamy do czynienia z dwiema perspektywami. Jedna to najbliższe wybory, a druga – zmiana władzy. To trzeba realistycznie rozdzielić. Jak długo mamy nadzieję, że opozycja ma realne szanse zdobycia władzy, i dopóki inwestujemy w ten proces nasze kapitały, dopóty nie jesteśmy w stanie zająć się rzeczą, która wydaje się poważniejsza, czyli odzyskaniem władzy przez siły demokratyczne. To są dwie różne sprawy. Trudno to połączyć, bo zgodnie z klasycznym modelem Kuhnowskim jesteśmy przyzwyczajeni do instytucji i relacji.

Była tu mowa o zaczynaniu wszystkiego od nowa. Skąd nadzieja, że grupa ludzi, którzy ponieśli klęskę polityczną, jest w stanie odnieść sukces polityczny, nie zmieniając nic ani w swoim programie,

ani w składzie osobowym, ani w tożsamości? To założenie jest naiwne, dość ryzykowne i kosztowne, ponieważ pociąga za sobą inwestowanie kapitałów w te same struktury i grupy, zamiast w próby wygenerowania czegoś nowego. Tu raczej promowałbym strategię Kutuzowa, to znaczy „cofać się, przeformować, budować nową siłę”.

Kolejne cztery lata tej władzy to potworne koszty. Jednak można je ponieść i nie odnieść sukcesu – albo ponieść te koszty i przygotować się na sukces. Wydaje mi się, że będziemy w stanie przejść tę barierę, a zarazem nie wyrzucać na śmietnik dziś, przed wyborami, formacji politycznych, które walczą. Nie chciałbym już więcej inwestować w stare formacje, bo to są inwestycje stracone, jak w kopalnie i elektrownie węglowe.

Chciałbym zaapelować, abyśmy zastanawiali się raczej, jak wygrać w 2023 roku, a nie w 2019. To pierwsze jest realne, a drugie nierealne.

Janusz Jankowiak

Nie mam nic przeciwko pochwałom Prawa i Sprawiedliwości, ale jednak w pewnych granicach. Padły tutaj określenia PiS, które trzeba sprostować. Po pierwsze: „PiS jako dobrze zarządzana firma”. Tylko że to jest firma publiczna, która czerpie z nieograniczonych zasobów tak długo, jak one są. Po drugie: „PiS dostarczył to, co obiecał”. Tymczasem premier Mateusz Morawiecki w swojej Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju mówił o modernizacji coś innego, niż PiS realizował. Po trzecie: „PiS jako mechanizm wyspowej modernizacji”. To jest bardzo dalekie od moich wyobrażeń.

Niedawno ukazał się tekst Pawła Musiałka z Klubu Jagiellońskiego⁵, który analizuje, skąd się wzięło zwycięstwo PiS. Partia ta ogłosiła koniec modernizacji i etapu transformacji. Na pomysł, aby ogłosić ich koniec, wpadli wcześniej inni, ale w ich zamyśle chodziło o to, aby po zakończeniu tego etapu zacząć czerpać z owoców transformacji w postaci reform, np. edukacji czy służby zdrowia. Coś dać ludziom. To się słabo przebiło. Natomiast koniec transformacji w wydaniu PiS oznaczał koniec etapu wyrzeczeń. Przez ostatnie cztery lata zaczynamy czerpać z owoców tego wysiłku. O ile wcześniej transformacja odbywała się w imię przyszłych pokoleń, o tyle teraz zaczęliśmy żyć kosztem następnych pokoleń.

Ta analiza pociąga za sobą koszty, z których nie do końca zdajemy sobie sprawę.

Z zaproponowanych tutaj zdań najbardziej podoba mi się wypowiedź Ludwika Dorna, żeby nic nie robić. Dlaczego? Dlatego że najbliższe cztery lata zweryfikują, na ile strategia końca transformacji w wydaniu PiS-owskim będzie możliwa do kontynuacji. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale konsekwencje, jakie to za sobą pociąga, są olbrzymie. Andrzej Rychard słusznie wskazuje trzy cele: edukacja, służba zdrowia, ekologia. Tylko skąd wziąć na to pieniądze? One zostały już wydane. Usługi publiczne zostały sprywatyzowane, ludzie dostali pieniądze do ręki. Jeśli chcecie mieć lepsze usługi zdrowotne, to sobie je kupcie. Jeśli chcecie żyć w zdrowszym środowisku, to kupcie sobie dom tam, gdzie jest czyste powietrze. Nie będzie pieniędzy na prawdziwe reformy końca transformacji.

W tym świecie wszystko jest weryfikowane przez bieżący rozwój wydarzeń. Moim zdaniem niedługo czeka nas trudna globalna recesja. Etap weryfikacji nastąpi w ciągu czterech lat po przegranych wyborach 2019 roku.

⁵ Paweł Musiałek, *Koniec polskiej transformacji*, klubjagielloński.pl, 28 maja 2019, <https://klubjagielloński.pl/2019/05/28/koniec-polskiej-transformacji/>.

Marek Migalski

Jeżeli do tej pory nie wymyślono nowych rozwiązań, to one nie powstaną w ciągu paru tygodni przed wyborami. Tu zgadzam się z Ludwikiem Dornem. Jeśli nie stanie się nic zewnętrznego w skali światowej, to Prawo i Sprawiedliwość wygra wybory parlamentarne jesienią 2019 roku. Dla mnie to jest oczywiste. Jasne, może być tak, że np. wybuchnie wojna z Iranem i wówczas polski rząd może być zmuszony do tego, aby uczestniczyć w koalicji, a opozycja zdobędzie się na to, aby powiedzieć, że nie powinniśmy być stroną tego konfliktu. Jednak ta czy inne okoliczności są niezależne od opozycji.

Za nami wybory do Parlamentu Europejskiego, najłatwiejsze dla opozycji i najtrudniejsze dla PiS-u. W tych najtrudniejszych dla siebie wyborach Prawo i Sprawiedliwość wyraźnie zwyciężyło. Nie spodziewałem się takiego wyniku, uważałem, że będzie remis ze wskazaniem. Jeśli teraz zanotowaliśmy 45%, to pewne, że jesienią to będzie 60% głosów na PiS. Ludzie pójdą do urn dla wszystkich spraw społecznych, a ci, którzy uznali kwestie europejskie za mniej istotne, na pewno pojawią się w lokalach wyborczych jesienią, co oznacza, że PiS ma szansę zwiększyć stan posiadania. Partia rządząca ma też więcej narzędzi do prowadzenia polityki przed wyborami. A to oznacza, że rozgrywka będzie się odbywała na polu wyznaczonym przez PiS, a nie na zasadach, które ustali opozycja.

Marcin Król ma rację, kiedy mówi, że analizując to, co się w Polsce dzieje, należy odwołać się do natury ludzkiej. W ciągu ostatnich 30 lat nauki biologiczne przynoszą nam pogląd, że człowiek jest raczej grupolubny, a nie indywidualny, lubi raczej komunitarne ideologie i ciepło z nich płynące, a nie wartości, które moglibyśmy określić jako liberalne. Nawet jeśli to jest nieprawda wobec wszystkich ludzi – takie pojęcie natury ludzkiej byłoby zbyt rozbudowane – to tak jest w Polsce. Mówiąc brutalnie, tak się stało, że program i praktyka rządów PiS są bliższe poglądom przeciętnego Polaka niż program i praktyka rządów opozycji. Tego się nie zmieni przed wyborami. To oznacza, że obóz demokratyczny musi się przygotować na wygraną PiS-u. Pytanie tylko, czy ta wygrana będzie powyżej 231 mandatów, czy też nie. I o to powinien zagrać obóz demokratyczny.

Trzeba walczyć o to, aby nasze wybory nie przypominały drugich wyborów na Węgrzech, kiedy wygrał Viktor Orbán, a nie walczył już o to, aby wygrać, tylko żeby wziąć większość konstytucyjną. Podobnie będzie w Polsce: jeśli PiS wygra samodzielnie w 2019 roku, wtedy tak właśnie zmieni reguły gry i rywalizacji politycznej, przy czym zacznie od Konstytucji, prawa wyborczego, zmieniając rynek mediów, tworząc własnych oligarchów. Jeśli nie nastąpi jakiś kryzys ekonomiczny, to w 2023 roku już nie będzie żadnej możliwości walki opozycji.

W moim przekonaniu jedyną szansą dla obozu demokratycznego jest na tyle wysoki wynik PSL i na tyle niski – czyli poniżej 231 mandatów – wynik PiS, aby przez następne cztery lata PiS musiał współpracować z Polskim Stronnictwem Ludowym. To by oznaczało, że uwaga obozu demokratycznego nie powinna być skupiona na tym, aby pokonać PiS, bo to niemożliwe, tylko tak zbudować PSL, aby idąc po wyborców centrowych, konserwatywnych, czyli bliższych przeciętnemu Polakowi, uczynić niezbędną koalicję z PSL. Dzięki temu przez następne cztery lata zostaną utrzymane mechanizmy demokratyczne. Pragmatyzm – niektórzy mówią „cynizm” – ludowców pozwoli na to, żeby oni, budując Polskę według własnych, prawicowych, konserwatywnych, chadeckich wartości, zachowali elementy demokracji, ponieważ potrafią to robić. Potrafią walczyć o swoje, a przy okazji będą się bili o państwowe, demokratyczne mechanizmy. Trzeba tak skonstruować listy opozycyjne czy bloki opozycyjne, aby umożliwić PSL jak najszerszą penetrację w elektoracie, dzięki czemu będzie mógł stać się dziesięcioprocentowym podmiotem, w ten sposób kradnąc głosy PiS i obniżając jego wynik poniżej 231 mandatów.

Nie nawołuję do głosowania na PSL, ale do zorganizowania przestrzeni dla PSL tak, aby mógł sobie sam poradzić. Przedstawiciele tej partii trafnie odczytali wyniki wyborów europejskich. W moim

przekonaniu powinno się pozwolić Polskiemu Stronnictwu Ludowemu pójść samodzielnie do wyborów, utworzyć jakiś bliżej nieokreślony Blok Polski, oczywiście w formie partyjnego komitetu, zbudować opozycję lewicową, zachęcić tych, którzy dzisiaj nie są w stanie się ze sobą porozumieć, do tego, aby poszli po każdego anty-PiS-owskiego wyborcę. Błędem wyborów do Parlamentu Europejskiego było to, że nie wszyscy anty-PiS-owscy wyborcy pofatygowali się do lokali wyborczych. Jesienią każdy anty-PiS-owski wyborca musi znaleźć swoją ofertę programową.

Straszmy metodą d'Hondta, ale ona działa wtedy, kiedy dużo głosów zostanie zmarnowanych. Im mniej głosów zmarnowanych, tym ta metoda jest mniej dotkliwa. Chodzi o to, aby żaden głos anty-PiS-owski – czy to ze skrajnej lewicy, czy to z prawicy konserwatywno-chadecko-ludowej – nie został zmarnowany.

Janusz Czapiński

Wiosną 2015 roku rozmawialiśmy na łamach „Polityki” z Jackiem Żakowskim⁶, zastanawiając się, dlaczego za sześć miesięcy wygra Prawo i Sprawiedliwość. Najogólniej można powiedzieć, że główna postawiona teza brzmiała: chleba dosyć, rośnie apetyt na igrzyska. Dlaczego? Z czego są rozliczani politycy? To istotne, bo z tego wynika możliwy układ konstelacji politycznych. Politycy są rozliczani z tego, czy są „nasi”, czy należą do jakkolwiek zdefiniowanej naszej wspólnoty. Politycy są rozliczani ze skuteczności w rządzeniu: czy sprawnie rozwijają gospodarkę, przeciwdziałają smogowi itd. I wreszcie są rozliczani z naszych krzywd: nie z tego, co dobrego nam zrobili, tylko czym nam – naszym zdaniem – zaszkadzili. Z 60% Polaków, którzy w 2015 uznali miniony rok za udany, 3,5% podzieliło się tym sukcesem z władzą. Spośród pozostałych 40%, którzy uznali miniony rok za nieudany, połowa podzieliła się swoją klęską z władzą. Tak jest zawsze, to nie zależy od specyfiki polskiego społeczeństwa.

I kilka słów, dlaczego Koalicja Europejska przegrała wybory do Europarlamentu – wybory, które moim zdaniem były z założenia wygrane. Decydującym czynnikiem była ogromna asymetria w mobilizacji nowych ludzi, którzy poszli głosować. Za nadwyżkę mobilizacyjną tych, którzy oddali głos na kandydatów PiS czy jego koalicjantów, były odpowiedzialne dwa czynniki: pierwszy to bez porównania większa aktywność terenowa polityków PiS, a drugi to film *Tylko nie mów nikomu* Tomasza i Marka Sekielskich. Ogromna rzesza zwolenników liberalnej demokracji cieszyła się, że jest już 10 milionów odsłon, potem 12, 15... A ja byłem coraz bardziej przerażony. Kiedy doszło do 20, byłem przekonany, że to jest paliwo mobilizujące – może nie całe 40% Polaków, którzy systematycznie co niedziela wciąż chodzą do Kościoła, bo u nas ten proces laicyzacji nie jest tak szybki, jak był w Irlandii czy zwłaszcza w Hiszpanii. Tutaj tempo jest powolne. Ten czynnik zdecydował.

Są dwie wiadomości dla zwolenników opozycji – zła i dobra. Zła jest taka, że PiS znowu wygra. Dobra jest taka, że nie uzyska konstytucyjnej większości i nie będzie mógł, tak jak Viktor Orbán, zmieniać podstawowych zapisów prawnych. Ale wybory wygra. Dlaczego? Dlatego że z punktu widzenia mechaniki wyborczej, czyli oceny polityków, PiS zdecydowanie lepiej spełnia przynajmniej dwa kryteria w przypadku 40% Polaków. Podstawowe kryterium to są „nasi” w sensie narodowo-katolickim. A dla pozostałych „nasi” są różni. Dla jednych Schetyna może być „nasz”, a dla innych – tutaj już takie głosy padały – nie nadaje się do niczego, to nie jest nasz człowiek. Drugie kryterium to skuteczność, która buduje wiarygodność polityków. Obiecaliśmy, załatwiliśmy, wprawdzie nie udało się milion ojczyznianych elektrycznych samochodów, ale reszta obietnic się spełniła, a niektóre dopiero są na

⁶ Polacy szczęśliwi, ale chcą zmiany. Janusz Czapiński o wynikach *Diagnozy Społecznej* [rozmawia Jacek Żakowski], „Polityka”, 15 września 2015.

etapie wstępu do realizacji, np. Centralny Port Lotniczy, na Mierzei Wiślanej już wycięto las. Mówimy i robimy, po prostu.

Pamiętamy, co Jarosław Kaczyński zarzucał Platformie Obywatelskiej przez całe osiem lat jej rządów? Imposybilizm – to był główny zarzut: tego nie potraficie, tego nie możecie, deliberujecie w nieskończoność, nie podejmujecie decyzji, nie umiecie rządzić, bo paraliżuje was imposybilizm.

Wreszcie ważny wymiar w 2015 roku – tożsamościowy. Między 2011 a 2015 rokiem o jedną trzecią wzrosły postawy ksenofobiczne. Pod nimi kryje się przekonanie, że obcy mają zbyt wiele do powiedzenia w naszym kraju albo że mniejszości powinny się podporządkować większości. Jarosław Kaczyński postawił na jedyną wspólnotę, jaką da się w Polsce budować. Nie da się budować wspólnoty w modelu liberalno-demokratycznym ani najbardziej pożądanej wspólnoty obywatelskiej, ponieważ taka wspólnota charakteryzuje się tym, że nie interesuje mnie, w co wierzysz, jakie masz korzenie etniczne, skąd przyjechałeś, mam tylko jedno pytanie: czy jesteś gotów ze mną współpracować dla dobra wspólnego? Jeśli jesteś gotów, to należysz do mojej obywatelskiej wspólnoty. To jest definicja wspólnoty obywatelskiej.

Jaką wspólnotę można budować w Polsce? Tylko narodowo-katolicką. To jest jedyny możliwy u nas model. Jarosław Kaczyński na niego postawił i dopieścił ten typ wspólnoty – nie wspólnotę obywatelską, tylko wspólnotę żołnierzy wyklętych, wspaniałej historii Polski, wspaniałego polskiego narodu itd. To oczywiście prowadzi do tego, o czym mówiła Mirosława Marody, czyli do wykluczania ogromnych grup, które się nie identyfikują (albo niezbyt mocno się identyfikują) z tego rodzaju wspólnotą. Prezes PiS postawił na nacjonalizm, a chcąc dotrzeć do mniej nacjonalistycznie nastawionych, ale ciągle jego wyborców, operuje hasłem suwerenności narodowej. To hasło sprawia, że możemy się boksować z Unią Europejską w obronie suwerenności naszego narodu. My tu podejmujemy wszelkie istotne decyzje, co oczywiście nie tylko nie zraża tych, którzy głosowali na PiS w 2015 roku, ale wręcz ich zachęca do popierania w dalszym ciągu tego ugrupowania. Bo Prawo i Sprawiedliwość walczy o suwerenność naszej – czytaj: narodowo-katolickiej – wspólnoty.

Zgadzam się z głosami, że opozycja ma dzisiaj niewiele do powiedzenia. Nie jest w stanie zebrać pod sztandary wspólnoty obywatelskiej tych, którzy nie zgadzają się z polityką PiS. To będzie wspólnota indywidualności: to jestem ja, z sąsiadem drę koty, a czy będziemy łątali wspólną drogę? Nie, to powinna zrobić instytucja. Innymi słowy, jesteś kowalem swojego losu i dbaj o swój interes, ewentualnie o interes rodziny, ale nie wspólnoty lokalnej.

Mirosława Marody

Różne rzeczy robią razem.

Janusz Czapiński

Trochę się temu przyglądałem przez piętnaście lat i naprawdę odpowiedzialnie wiem, co mówię. Innymi słowy, nie chodzi o to, że PiS miał dobrą diagnozę. Nawiasem mówiąc, z Diagnozy Społecznej wziął pomysł na program 500+. W badaniach, jakie prowadziliśmy w 2015 roku, wyszło, że gwałtownie spada zadowolenie z życia w miarę liczby posiadanych dzieci. Kiedy wykonaliśmy ćwiczenie i wyrównaliśmy dochód na osobę w gospodarstwie, okazało się, że zależność gwałtownie się odwróciła: najmniej zadowolone były małżeństwa bezdzietne, troszkę bardziej zadowolone te z jednym dzieckiem, najbardziej zadowolone zaś te, które mają piątkę i więcej dzieci, jeżeli na osobę mają taki sam dochód, jak małżeństwa bezdzietne albo mające tylko jedno dziecko. To był majstersztyk, który sprawił, że nikt nie został tak naprawdę poszkodowany. Ci, którzy płacą z podatków pieniądze na 500+, nie poczuli od

razu uszczerbku w swoich portfelach. W związku z tym opozycja ma niewiele do powiedzenia przed tymi wyborami dla odwrócenia tego trendu.

Kiedyś Edward Gierek „przejechał się” na próbie dosypania pieniędzy do mało zmodernizowanej polskiej gospodarki. Gierek miał na to 10 lat. Teraz jest tylko pytanie, kiedy nastąpi wystawienie rachunku za obecne zmiany. Żaden rachunek nie zostanie wystawiony przed wyborami w październiku 2019 roku. Moim zdaniem nie nastąpi to nawet w przyszłym roku. Ale kiedyś ten rachunek musi zostać wystawiony, ponieważ czysto ekonomicznej rzeczywistości nie da się oszukać hasłami.

Michał Boni

Chciałbym dodać kilka uwag.

Pierwsza dotyczy perspektywy naszego myślenia. Trzeba myśleć o dwóch perspektywach: roku 2019 i 2023, i zrobić wszystko, aby zmaksymalizować pozytywny efekt w roku 2019, ale również zadać sobie pytanie, czy potem da się obronić instytucje i zasady funkcjonowania państwa. Trzeba rozważać, co będzie się działo po wyborach 2019 roku, jeśli PiS wygra. Czy nam się w ogóle uda przetrwać i czy nie przyspieszy proces „urbanizacji” państwa? Tu widzę olbrzymie zagrożenia.

Druga uwaga dotyczy tego, aby wreszcie zacząć się uczyć na błędach. Pamiętam, jak po przegranej liberałów w 1993 roku dostaliśmy zadanie przygotowania raportu o przyczynach przegranej. Przygotowaliśmy go w ciągu dwóch tygodni, a potem odbyła się dobra wewnętrzna dyskusja. Dzisiaj nie ma takiej analizy. Siły obozu demokratycznego zostawiły na boku całą analizę przyczyn. Tymczasem ta analiza musi powstać i sięgać nie tylko do przegranej w wyborach do Parlamentu Europejskiego, ale do roku 2015, a także powinna wrócić do oceny transformacji. Po 1989 roku trzeba było – takie jest moje zdanie – zrobić to, co zostało zrobione, jednak musimy sobie uświadomić różne skutki, jakie transformacja wywołała, asymetrie społeczne i różnicowania. To jest coś, na czym PiS budował swoją siłę przez ostatnie 10–15 lat.

Trzecia uwaga dotyczy tego, do kogo chcemy adresować nasz przekaz w duchu obozu demokratycznego. Nie możemy ulec złudzeniu, że nagle przekonamy członków wspólnoty PiS-owskiej. Oni się nie zmieniają. Jednak gdzieś na obrzeżach tej wspólnoty są ludzie, którzy się zastanawiają, jest mnóstwo osób neutralnych albo takich, które mówią „ani na tego, ani na tego”. To jest wielkie pole do obrobienia.

Czwarta uwaga – nawiązuję do tego, o czym mówił Andrzej Rychard – jak wypracować zdolność mobilizacji i to jeszcze w sposób wiarygodny? Przede wszystkim, do tego potrzebne jest przywództwo, zarówno na poziomie krajowym, jak i lokalnym. Na palcach jednej ręki policzę tych, którzy mają taki potencjał, ale to niekoniecznie oni decydują czy sprawują funkcje przywódcze. To wielka bolączka: konieczna jest otwarta dyskusja o tym, że sposób przywództwa trzeba zmienić. Mówiąc krótko, intuicja przewodniczącego musi być zastąpiona profesjonalnym prowadzeniem badań, kampanii, przygotowywaniem programu itd. Pomysł na sztab wyborczy Koalicji Obywatelskiej z Breją był świetny, ale nie wiem, czy to nie będzie ornament. A wolałbym w kampanii np. brejzobusy, a nie schetynobusy.

Partie polityczne budują dzisiaj w Polsce koalicje i mają niestety dystans np. do ruchów obywatelskich. Tymczasem szansą byłoby, gdyby obóz demokratyczny szerzej korzystał zarówno z nich, jak i z Zielonych, bo oni okazali się jedynym ugrupowaniem politycznym, które ma w zanadrzu programowe rozwiązania w swojej dziedzinie.

Poza przywództwem potrzebne są idee programowe. Zostały tu mocno podkreślone indywidualne korzyści dla konkretnego człowieka. Trzeba umieć rozmawiać i komunikować sprawy, które są dla

ludzi ważne i w obszarze zdrowia, i edukacji, a także środowiska. Słuszne jest pytanie, czy to da się sfinansować. Chciałbym, abyśmy przy okazji zrobili krok do przodu. Kiedy dzisiaj w świecie ktoś pyta o reformy w systemach ochrony zdrowia, pyta o to, jak się używa nowych technologii, bo to one przynoszą i oszczędności, i lepszą jakość usług. W Polsce nie umiemy zadawać tego pytania. W niektórych dziedzinach reformatorskich zadajemy takie pytania, jakie się formułowało 30, 25, góra 15 lat temu, a nie w nowoczesny sposób. Podobnie dzieje się w sferze edukacji.

Istotą rozwiązywania problemów środowiskowych są innowacje. Takie jest europejskie spojrzenie na te rzeczy, a nie wysuptykiwanie kolejnych pieniędzy. Około 60% budżetu europejskiego na lata 2021–2027 będzie bliżej lub dalej, ale relatywnie mocno dotyczyło spraw środowiskowych. Jeżeli my (jako rząd) się wycofujemy i mówimy, że jesteśmy przeciw neutralności klimatycznej, środowiskowej do 2050 roku, to tak, jakbyśmy zabijali źródło finansowania tej właśnie zmiany.

Piątym istotnym elementem jest komunikacja budująca emocje i tożsamość. To wydaje się szczególnie istotne. Mam wrażenie, że w dziedzinie tożsamości i wspólnoty narodowej oni zbudowali konieczne instrumenty, od Muzeum Powstania Warszawskiego począwszy. Myśmy tego nie umieli. Mogę wspominać rozmowy z Donaldem Tuskiem na temat tego, czy warto podjąć jakieś działania w tej dziedzinie. Dzisiaj były premier myśli inaczej. Tożsamość i potrzeba zakorzenienia się jest szczególnie istotna po doświadczeniu transformacyjnym. Dla wielu ludzi transformacja stworzyła zupełnie nowe szanse, ale wielu pozbawiła prostego rozumienia świata, w którym były jasne punkty odniesienia. W historii Polski tym odniesieniem zawsze były religia i Kościół. Jeśli chcemy wracać do budowania wspólnot, to trzeba sobie zadać pytanie, czy oprócz Kościoła jest możliwość zakorzenienia się ludzi we wspólnotach regionalnych. Kiedy się jedzie przez Polskę, przy danym mieście można otworzyć aplikację, gdzie się wskazuje historię i miejsca, które warto odwiedzić, łącznie z opisem historycznym tego, co było. To jest droga, jaką należałoby pójść dalej, rozwijając tę potrzebę zakorzenienia. Chodzi o to, abyśmy do tego budowania tożsamości wprowadzili empatię. Abyśmy właśnie w świecie elit – padło tutaj takie stwierdzenie – byli tacy sami, na swoją miarę i w swojej dziedzinie, w swoim obszarze i ze swoim zestawem wartości. Ludzie tego potrzebują. Mówiąc krótko, świat polityki bardzo się wyalienował, o wiele bardziej niż dwadzieścia parę lat temu. Jeśli chce się, aby ta komunikacja i to budowanie tożsamości wróciły, trzeba stare wzorce przeorać i podejść w nowy sposób.

Zgadzam się, że jeżeli przez ponad trzy lata nie udało się wymyślić rozwiązania, które działałoby na PiS skutecznie, to nie wymyślimy go przed wyborami. Trzeba zmaksymalizować wysiłki i próbować osiągnąć różne cele, ale trzeba też wywierać presję na środowiska polityczne. One cały czas sobie tego nie uświadamiają. W rozwiązaniach programowych – myślę o obozie demokratycznym – daleko do tego tonu, jaki jest tutaj. Trzeba stworzyć klimat debaty publicznej i kontaktów ze środowiskami politycznymi obozu demokratycznego, aby ten rodzaj myślenia, który tutaj się pojawia, mógł się rozsiewać.

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz

Zacznę od słowa, na którym skończył Michał Boni: klimat. Jaki klimat debaty publicznej kształtujemy? Czy chcemy wygrać? Czy ktoś jeszcze wierzy w możliwość wygrania? Na poziomie ekspertów i dziennikarzy klimat jest taki, że zarówno wybory parlamentarne w 2019 roku, jak i prezydenckie w 2020 zostały oddane. Prawdę powiedziawszy, w historii nie znam ani jednego przypadku wygranej, kiedy ktoś w swoją wygraną nie wierzył. Wołodimir Zełenski miał podobno rozpisane wystąpienia jako komik na okres po wyborach, ale w jakimś momencie kampanii sam uwierzył w wygraną. Istnieje mnóstwo przypadków, zwłaszcza w ostatnich czasach, kiedy niemożliwe stało się możliwe. Od wspomnianego wschodniego sąsiada za miedzą po sytuację na Wyspach Brytyjskich, gdzie zwolennicy Brexitu nie mieli szans i uczynili niemożliwe możliwym. Kwestia jest tylko, jak do wyborów

podejść, co nie znaczy, że to jest łatwe. Natomiast bez wiary, także w atmosferze przedwyborczej, to jest po prostu niewyobrażalne.

Ciekawe jest rozróżnienie między stanem ducha szeroko rozumianego środowiska a diagnozą. Jak słusznie powiedział Jacek Haman, diagnoza wcale nie jest tak dramatyczna. Zarówno wybory samorządowe, jak i europejskie pokazują, że potencjał jest duży, tylko on się inaczej skumulował. Jest o co walczyć. Tymczasem z jakiegoś powodu zapanował taki stan ducha. Skąd to się bierze: oddanie wyborów na ileś miesięcy przedtem? Czy demokracja rzeczywiście traci moc mobilizacyjną? Nie jestem pewna. To zależy od tego, kto do tej demokracji mobilizuje. Wiemy, że ważny jest nie tylko przekaz, ale też to, kto go formułuje. Przekaz teoretyczny już nie trafia. Spójrzmy na Słowację, gdzie nagle znalazła się Zuzana Čaputová, która potrafiła przekonać do siebie Słowaków – wydawałoby się – odpornych na demokrację.

Pojawia się dylemat: czy wszystko należy tworzyć od nowa, czy też budować na starym? W moim przekonaniu przykładem budowania od nowa była Wiosna. To nie jest tak, że Polacy chcą nowego, ale chcą zmiany starego. Jednak większość nie poszła za Wiosną, a za Koalicją Europejską, która miała twarze odwołujące się do przeszłości. Patrząc na to, co się zdarzyło, można powiedzieć, że w realiach polskich chodzi raczej o odnawianie starego niż o budowanie wszystkiego od początku. Budowanie wszystkiego od początku niesie ogromne ryzyko.

W jakich realiach żylibyśmy, gdyby kolejne wybory wygrało Prawo i Sprawiedliwość? Mam wrażenie, że w debacie publicznej zakłada się, że to będą po prostu kolejne przegrane wybory. Ale co to będzie oznaczało dla elity opozycyjnej? Może w tym tkwi klucz do wzruszenia polityków opozycji, aby wyegzemplifikować, co się z nimi stanie. Te rzeczy zostały dobrze opisane w krajach, gdzie już do tego doszło. Wtedy władza robi rzeczy, które już zasygnalizował PiS: w kolejnej kadencji zaczyna się dobierać do drugiego, trzeciego i czwartego kręgu opozycyjnego. Nie uderza w osoby na świeczniku, bo to jest za duży koszt polityczny, ale w kolejne kręgi na najróżniejsze sposoby, od uprzykrzania życia do wsadzania za kratki. To powoduje, że siły opozycyjne po prostu tracą podstawę do funkcjonowania. Nie ma biznesu, który będzie łożył pieniądze, jest coraz mniej dziennikarzy, którzy są gotowi ryzykować, jest przede wszystkim coraz mniej aktywistów i działaczy lokalnych, którzy ponoszą koszty, a ich liderzy nie są w stanie ich bronić, dlatego że państwo działa przeciwko nim, a opozycja jest bezsilna. To naprawdę już przećwiczono w niejednym kraju. Może taka perspektywa jest w stanie kogoś poruszyć.

Nie jesteśmy w sytuacji zero-jedynkowej, wygrane i przegrane. Mamy kontinuum, które jest niezwykle ważne, i to nie tylko ze względu na większość zwykłą czy konstytucyjną. Jeżeli te wybory zostaną przegrane nawet małym marginesem, to reakcja w Unii Europejskiej będzie kompletnie inna, niż kiedy do całkowitej porażki. Jeżeli będzie to mały margines, to teza o dwóch Polskach pozostanie i wtedy jest duża szansa na kolejną skargę do Trybunału, na uruchomienie mechanizmu finansowego z budżetu Unii Europejskiej itd. Tych instrumentów nie jest mało i one są mocne. Natomiast jeżeli z Polski popłynie jasny sygnał, że zdecydowana większość społeczeństwa chce tej władzy, to nikt nie będzie leczył kraju wbrew zdecydowanej większości. Dlatego liczy się każdy mandat i naprawdę jest o co walczyć.

I wreszcie program. O wielu sprawach już powiedziano: że to ma być łączące, nie dzielące, pozytywne, nie negatywne. Chciałabym dodać jeszcze jedną rzecz. Programy dzisiaj buduje się na dwóch poziomach – czego opozycja jeszcze nie zrozumiała – na poziomie „makro” i „mikro”. „Makro” to opowieść, „mikro” to konkret, który rozumie dany człowiek. Ale samo „mikro” – czyli to, co użyteczne dla człowieka – nie zadziała, jeśli nie ma „makro”, czyli kiedy to się nie wpisuje w opowieść. Nie ma już programów,

to są konkurencje narracji. W tę opowieść musi być wpisane „mikro”. Nie ma przekazu pośredniego, przynajmniej nie wśród partii, które wygrywają.

Czy są pieniądze na reformy? Trzeba się trochę zagłębić: np. na reformy środowiskowe są pieniądze, ponieważ Polska dostaje duże środki ze sprzedaży zezwoleń na emisję. To są naprawdę duże kwoty, które powinny i mogą zostać przeznaczone na reformy, czego się w tym momencie nie robi. To są naprawdę grube miliardy, a jakoś się o tym nie mówi. Wystarczy trochę pogrzebać i poszukać.

Co do metody d'Hondta, polecam analizę Jarosława Flisa⁷, który pokazuje, że przewaga największej partii jest szczególnie istotna przy współgraniu dwóch czynników: ile jest straconych głosów oddanych na partię, które nie osiągnęły progu wyborczego, oraz ile jest partii nad progiem. Dopiero kombinacja tych dwóch elementów daje ogromny bonus największej partii. To się zresztą zdarzyło w 2015 roku – było wiele głosów straconych i stosunkowo dużo partii nad progiem. Jeden z tych czynników wcale nie jest aż taki istotny, dopiero kombinacja pozwala mieć większość parlamentarną przy 35%.

Andrzej Leder

Nie będę się skupiał na diagnozie. Nie do końca zgadzam się, że już jesteśmy w sytuacji podobnej do Węgier. Wydaje mi się, że Polska jest nadal głęboko podzielonym społeczeństwem: 45% wyborców, którzy w wyborach europejskich zagłosowali na nie-PiS czy też przeciw konserwatywno-katolicko-narodowej wizji Polski, to bardzo dużo. W tym sensie nawet jeżeli Prawo i Sprawiedliwość ma swoje 45%, to nadal są to porównywalne, duże siły polityczne.

Chciałem powiedzieć przede wszystkim o horyzontach przyszłości. Zgadzam się, że w naszej sytuacji czymś innym jest przyszłość bliska, a czym innym długofalowa. Konflikt między potrzebami związanymi z bliską i długofalową przyszłością jest teraz ogromnym problemem politycznym.

Mówiąc o przyszłości, zacznę od paradoksalnego stwierdzenia Marka Borowskiego, który niedługo po wyborach w 2015 roku powiedział, że optymalnym rządem dla Polski byłby sojusz .Nowoczesnej i Partii Razem. To byłaby wizja sojuszu, gdzie mamy reprezentację klasy średniej, kapitalizmu i reprezentację pracowniczą, jakiejś formy lewicy, i one się dogadują na bazie nowoczesnej racjonalności, aby stworzyć nowoczesny model państwa. Taki model był podstawą sukcesu większości europejskich społeczeństw w trzydziestu cudownych latach między 1945 rokiem a końcem lat 60. Sojusz klasy średniej i kapitału z silną reprezentacją pracowniczą, na bazie racjonalnych rozwiązań i strachu przed wojną.

W Polsce oba te ugrupowania znikły. Elektorat klasy średniej, szczególnie wielkomiejski, wrócił do Platformy Obywatelskiej, natomiast elektorat pracowniczy czy socjalny, jak się często mówi, wrócił czy poszedł do Prawa i Sprawiedliwości. W ten sposób modernizacyjny pomysł Marka Borowskiego okazał się niemożliwy do realizacji w tym momencie. Natomiast PiS w dużym stopniu zrealizował ten pomysł, tylko nie na zasadzie racjonalnej umowy społecznej między dwiema silnymi klasami, ale na zasadzie wymyślenia narracji hegemonicznej, o której tutaj była wielokrotnie mowa, a która w pewnym sensie pasuje elektoratowi socjalnemu czy pracowniczemu i szczególnie peryferyjnej lub prowincjonalnej klasie średniej. I jedni, i drudzy lubią narrację, jaką oferuje PiS, i dzięki temu tworzą dużo silniejszy blok niż pozostałe elektoraty.

⁷ Jarosław Flis, *Jak bardzo sejmowa ordynacja zachęca do budowania sojuszy i jakie stwarza dla nich przeszkody?*, Warszawa 2019, <http://www.batory.org.pl/upload/files/Programy%20operacyjne/Forum%20Idei/System%20wyborczy%20a%20integracja%20polityczna.pdf>.

W Polsce długofalowo konieczna jest zmiana świadomości w obu grupach. Jeżeli chodzi o klasę średnią, to przede wszystkim konieczne jest uświadomienie jej, że nie będzie bezpieczna bez sojuszu z reprezentacją klasy pracowniczej. To z perspektywy klasy średniej może mieć wiele niewygodnych konsekwencji – najtrudniejsze może być wyrażenie zgody na wysokie podatki. Biedne społeczeństwo nie może sobie pozwolić na niskie podatki, jeżeli chce prowadzić politykę społeczną – i to niekoniecznie chodzi o 500+, ale o służbę zdrowia i sferę publiczną, bez której w ogóle nie ma mowy o spójności społecznej. Klasa średnia musiałaby to zaakceptować, a nie marzyć o powrocie do III RP, gdzie klasie średniej, szczególnie wielkomięskiej, było fajnie, tylko wszyscy inni byli mniej zadowoleni. To jedna głęboka zmiana mentalności.

Druga to stworzenie politycznej reprezentacji grup pracowniczych, które nie są aktualnie reprezentowane. Funkcjonuje wiele takich grup, którym się nie podoba narodowo-katolicka hegemonia PiS, chociażby pracownicy średniego szczebla w służbie zdrowia, edukacji itd. To spora grupa społeczna, która w dużej mierze nie identyfikuje się z żadną reprezentacją polityczną i w pewnym sensie jest tym centrum, o jakim była tutaj mowa. To centrum w gruncie rzeczy nie wierzy, że polityka może doprowadzić do jakiegokolwiek zmiany. W Polsce tylko 60% ludzi głosuje, a 40% nie idzie do wyborów, np. wielu młodych. Na dłuższą metę stworzenie reprezentacji politycznej tej grupy dawałoby w miarę przytomnej klasie średniej i jej reprezentacji politycznej szansę na tego rodzaju sojusz, o jakim mówił Marek Borowski. Upolitycznienie uciekających od polityki grup, szczególnie w obrębie elektoratu pracowniczego, ale nie-PiS-owskiego, byłoby drugą taką zmianą w obrębie mentalności.

Do takiego długofalowego projektu trzeba by wprowadzić odpowiednio wielką makronarrację. Osobiście uważam, że taką makronarracją – i tutaj się zgadzam z Andrzejem Waśkiewiczem – jest narracja modernizacyjna, ale niepolegająca na modernizacji neoliberalnej, tylko łącząca różne elementy, również element interwencji państwa czy dużych instytucji, choćby Unii Europejskiej. Taka makronarracja musiałaby być też elementem opowieści o sukcesie nie tylko ostatnich 30 lat, ale o sukcesie emancypacyjnym polskiego społeczeństwa w ciągu lat 150. Chodzi o to, że polskie społeczeństwo od połowy XIX wieku przeszło transformację ze społeczeństwa, które było w większości niewolnicze, a w każdym razie poddańcze, do społeczeństwa, które jest w miarę nowoczesne i całkiem nieźle sobie radzi w świecie. W takim sensie potrzebna jest opowieść emancypacyjna, a nie martyrologiczna. Tyle jeśli chodzi o perspektywę długofalową.

Jednak problem polega na tym, że stanęliśmy jednocześnie na progu stanu wyjątkowego. Myślmy, co można by zrobić za 10 czy 15 lat, a to może być zbyt odległa perspektywa.

Nie zgadzam się, że w obliczu stanu wyjątkowego można nie robić nic. Trudno zrobić wiele, ale trzeba cokolwiek. Zgadzam się z głosami, które mówią, że podstawowym problemem strony demokratycznej jest słaba mobilizacja. Brakuje aktywistów średniego szczebla, którzy uruchamiają wyborców. Wielokrotnie tu powtarzano: jeżeli się nie chodzi do ludzi, nie działa, nie przekonuje, nie wymyśla nowych rzeczy, to ci ludzie po prostu się nie mobilizują i nie idą do wyborów. To najprostszy element, który jest możliwy do zauważenia i prób zmiany w ciągu ostatnich miesięcy przed wyborami. Pytanie, czy aktualnie istniejące partie demokratyczne – głównie Platforma Obywatelska i .Nowoczesna plus nowo powstająca lewica – są zdolne do tego rodzaju mobilizacji swoich aktywistów. Tego po prostu nie wiem.

Polityczny stan wyjątkowy w Polsce to tylko jeden z elementów globalnego stanu wyjątkowego. Stoimy wobec światowego stanu wyjątkowego, katastrofy klimatycznej, kiedy za jakiś czas zaczną się naprawdę katastrofy cywilizacyjne, u nas – przede wszystkim wysychanie. W tym sensie to nie jest taka sytuacja polityczna, gdzie tak jak Adam Michnik będziemy siedzieć w celi i dyskutować o różnych

modelach demokracji. Prawdopodobnie żyjemy na progu dużo poważniejszego kryzysu, niż to zdarzyło się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat.

Elżbieta Korolczuk

Cieszę się, że Andrzej Leder wspomniał o perspektywie globalnej. Muszę przyznać, że zdumiewa mnie charakter naszej debaty – mowa jest głównie o PiS i PO, jakby to był jedyny czynnik, który wpływa na sytuację polityczną. Mam poczucie, że dyskusja o tym, czy jesteśmy skazani na nacjonalizm, czy może jednak możliwa jest jakaś wersja liberalizmu, okazuje się nieaktualna.

Należy zadać pytanie, czy gdyby nie to, co się dzieje na poziomie globalnym, nie tylko w Europie, np. kryzys uchodźczy, Prawo i Sprawiedliwość osiągnęłyby takie wyniki? Myślę, że nie. To, co się dzieje w Polsce, jest mocno związane z tym, co się dzieje w Europie i na świecie. Nie trzeba mieć sojuszu Kościoła i nacjonalizmu, aby uzyskać dwadzieścia kilka procent poparcia, tak jak mają w tej chwili Szwedzcy Demokraci, nie mówiąc o innych krajach, takich jak Francja czy Włochy (choć tam sytuacja jest bardziej skomplikowana). Powinniśmy wyjść poza debatę, czy nacjonalistyczno-religijna wersja tożsamości jest jedyną opcją i czy możemy zbudować tożsamości zbiorowe wokół innych wartości. To oczywiście, że można i należy, pozostaje pytanie, kto miałby to zrobić i jak.

Chciałabym odwołać się do książki Stephena Duncombe'a *Dream*⁸ z 2007 roku. To ciekawa lektura, choćby dlatego, że autor przewidział prezydenturę Donalda Trumpa, zanim jeszcze u władzy był Barack Obama. Duncomb opisał zjawisko, w ramach którego konserwatyści czy też prawica jako taka zamienili się miejscami z liberałami i lewicą, jeśli chodzi o orientację przyszłość–przeszłość. Prawica skutecznie przekonuje, że ma receptę na przyszłość, a liberałowie i lewica stają się obrońcami przeszłości, o której wiemy, że nie była idealna i prosty powrót do niej jest niemożliwy.

W polskim kontekście Platforma Obywatelska występuje jako obrońca pewnej wersji przeszłości, w tym przypadku III RP. Nie ma znaczenia, czy ta przeszłość jest oceniana dobrze czy źle – problemem jest to, że lewica i liberałowie przestali być tymi, którzy wyznaczają drogę w przyszłość, i w tym sensie są na straconej pozycji w momencie, kiedy główną zbiorową emocją jest niepewność co do przyszłości. To dotyczy nie tylko polskiego kontekstu, ale dzieje się globalnie: wszyscy boimy się katastrofy. Tymczasem populiści składają obietnicę: możemy sobie tę przyszłość wyobrazić i poradzić sobie z jej wyzwaniem. Populizm jest nie tylko polityką strachu, jak mówiła Ruth Wodak, ale także polityką nadziei. Mamy dziś bowiem ogromny problem z nadzieją: nawet ci z nas, którym żyje się dobrze, nie wierzą w to, że świat można zmienić na lepsze.

Nie chciałabym tutaj mówić o taktykach, bo na poziomie taktyki chodzi o przejęcie inicjatywy w sferze dyskursu i projektów politycznych. Wróć do tematu mobilizacji. Część z osób, które uczestniczą w tej dyskusji, już pytała w swoich tekstach i analizach, gdzie są młodzi. Patrząc z perspektywy ruchów społecznych – bo to jest moja perspektywa badawcza – młodzi są nie tylko w organizacjach prawicowych, ale też skupiają się wokół takich kwestii, jak klimat i szeroko pojęta sfera praw mniejszości. Widać to na poziomie europejskim, ale także w Polsce. Prawica prowadzi wojnę ideologiczną w sferze, którą można nazwać „demokracją seksualną”, co obejmuje cały szereg spraw dotyczących definicji intymności, seksualności i rodziny, tego, jak sobie wyobrażamy związki i nasze życie w sferze prywatnej. W Polsce rezerwuary mobilizacji młodych ludzi są skoncentrowane właśnie wokół takich kwestii, a mimo to w sferze politycznej właściwie nie widać odwagi wsparcia tych działań i skupienia się na takiej wersji przyszłości, w której łączy się wolność osobista z solidarnością społeczną.

8 Stephen Duncombe, *Dream: Re-imagining Progressive Politics in an Age of Fantasy*, New York–London 2007.

Jeden z przedmówców mówił tutaj o „pochodach dziwolągów”. W tym roku odbyły się 22 marsze skupione wokół kwestii praw mniejszości seksualnych, nie tylko w dużych ośrodkach, ale także w takich miejscach, jak Rzeszów, Opole, Gniezno, Toruń. To są właśnie te rezerwuary mobilizacji, często lokalnej, bo tam istnieją osoby, które mają odwagę działania w niekorzystnym kontekście politycznym. Taka partia jak Platforma Obywatelska nie ma ani odwagi, ani wyobraźni politycznej, by sięgnąć do tych rezerwuarów i wyobrazić sobie przyszłość, która będzie przyszłością progresywną i jednocześnie solidarną w sensie ekonomicznym. Należy zadać pytanie, czy my jako osoby będące liderami opinii i badaczami tych zagadnień mamy tę odwagę czy też nie.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk

Chciałabym poruszyć trzy kwestie, odnosząc się do elementów diagnozy, ale jednocześnie zejść na poziom konkretnego i praktyki politycznej.

Pierwsza kwestia wydaje mi się absolutnie kluczowa i o tym była już mowa: szeroko rozumiana opozycja demokratyczna, niezależnie od wewnętrznych podziałów, musi odnaleźć sposób na zademonstrowanie sprawczości. Celowo mówię „zademonstrowanie”, ponieważ opozycja ma ograniczone możliwości, szczególnie w porównaniu do partii rządzącej. Ale, jak było powiedziane, sprawczość jest jednym ze źródeł siły politycznej Prawa i Sprawiedliwości oraz tego, co nazywamy wiarygodnością. Oczywiście, można mówić, że wiarygodność jest wzmocniana aparatem propagandowym – i tak jest. Jednak fakt, że obietnice PiS-u mogą przynajmniej potencjalnie być zrealizowane, a część jest realizowana naprawdę, to jest ogromne narzędzie.

To oczywiście wielkie wyzwanie dla opozycji, bo ona nie dysponuje takimi narzędziami. W jaki sposób opozycja może udowodnić i zademonstrować swoją sprawczość? Ona jest czymś, czego nie można obiecać, ale trzeba po prostu pokazać. Moim zdaniem odpowiedzią na pytanie „jak?” jest sięgnięcie po samorządy, ale nie tak, jak to się w tej chwili dzieje, nie przez symboliczne zapraszanie na listy wyborcze, tylko poprzez realizację konkretnej polityki. Na przykład samorządowcy, prezydenci miast i w ogóle przedstawiciele organów samorządowych mogą po prostu zabrać się do roboty i zrealizować swoje obietnice wyborcze, w ten sposób udowadniając swoją sprawczość i budując wiarygodność.

Druga kwestia to próba odzyskania konfliktu dla demokracji. Od paru lat żyjemy w kraju, gdzie konflikt i różnica polityczna jest różnicą na śmierć i życie. Kiedy mówimy o tym, że należy odsunąć PiS od władzy – taka jest dominująca narracja po stronie opozycyjnej – w uszach elektoratu brzmi to jak propozycja anihilacji reprezentacji politycznej ogromnej części społeczeństwa. Skądinąd słuszne są postulaty postawienia przed Trybunałem Stanu czy rozliczenia – z czym się zgadzam. W sensie dbałości o demokrację to jest coś, co powinno nastąpić. Jednocześnie włączanie tego elementu rozliczenia jako trzonu opozycyjnej narracji jest sygnałem, że mamy do czynienia z absolutną walką. Oczywiście ze strony partii rządzącej konflikty też są tak rozgrywane. Było to wielokrotnie wspomniane – broni się wspólnoty przed kimś, kto chce coś odebrać, broni się czystości kulturowej przed LGBT i broni się granic przed uchodźcami.

W polskiej polityce już nie istnieje konflikt, który byłby solą demokracji. Nie istnieje demokratyczny konflikt i nie istnieje przyzwolenie na różnorodność. To widać w postulatach związanych z tym, jak opozycja powinna startować do wyborów. Ogromna presja na jeden, jednolity blok, gdzie nie ma miejsca na różnorodne narracje, co też wpisuje się w niezdolność do ocalenia konfliktu demokratycznego, a to wydaje mi się niezwykle istotne ze względów praktycznych. Opozycja musi znaleźć sposób, w jaki przyciągnie do urn rozmaite elektoraty, a nie tylko ten swój najczystszy i praworządny. Trzeba

mobilizować do pójścia na wybory i zagłosowania na którąś z opcji opozycyjnych. W sensie praktycznym widzę dwie możliwości odpowiedzi na pytanie o „jak?\": są to albo spuszczenie z tonu, jeśli chodzi o presję na jedną listę opozycyjną, albo rezygnacja z dyscyplinowania własnych polityków w obozie demokratycznym, kiedy ze sobą polemizują, kiedy się ze sobą spierają.

Trzecia rzecz: należy walczyć o wygraną w 2019 roku. Jeśli jest się analitykiem czy zdystansowanym intelektualistą, to można sobie pozwolić na pewne pesymistyczne analizy. Ale jeśli jest się intelektualistą zaangażowanym, to na taki luksus nie można sobie pozwolić. Nie tylko dlatego, że kapitulacją jest uznanie wyborów parlamentarnych za przegrane. Taka kapitulacja uniemożliwi przygotowanie się do wyborów w 2023 roku. Polityka nie znosi próżni. Jeżeli cel, jakim jest wygrana wyborów, zostanie wycofany w 2019 roku, to zostanie wypełniony partyjniackimi celami poszczególnych liderów i ugrupowań, które nie będą zdolne do tego, aby jakkolwiek się porozumieć, ułożyć albo chociażby wytworzyć wspólną opowieść, co pozwoliłoby wygrać w kolejnych wyborach.

Michał Sutowski

Kilka uwag. Pierwsza dotyczy rzekomo domyślnych dla Polski: tożsamości narodowo-katolickiej i „próżni socjologicznej”. Owszem, pamiętamy słynny artykuł Stefana Nowaka *System wartości społeczeństwa polskiego* z roku 1979. Ale łatwo zapominamy, że rok po opublikowaniu tekstu o tym, że w Polsce poza rodziną i narodem nie ma żadnych innych form więzi ani sfer dla możliwej współpracy i zaufania, powstała „Solidarność”. Nic zatem nie jest tu przesądzone.

Druga uwaga – Jacek Żakowski użył ciekawej metafory, mówiąc o strategii generała Michaiła Kutuzowa: o grze na wykrwawienie przeciwnika. Jednak przypominam, że zarówno Kutuzow, kiedy walczył z Napoleonem, jak i potem marszałkowie Timoszenko i Żukow, kiedy walczyli z Wehrmachtem, mieli do dyspozycji tzw. głębię strategiczną. Krótko mówiąc, mieli terytorium oraz klimat sprzyjający temu, aby wyczerpać drugą stronę. Nie wydaje mi się, żebyśmy to my mieli dziś czas i duże zasoby, aby spokojnie czekać, aż się przeciwnik zmęczy. To my się wykrwawiamy z każdym miesiącem ich władzy.

Dlatego bliższe jest mi to, co powiedział Andrzej Leder. Jeśli Prawo i Sprawiedliwość wygra wybory, a zwłaszcza jeśli je wygra z wysoką przewagą, to w nowej formule mogą wrócić stare, pomarcowe dowcipy o mądrym Żydzie, który z głupim Żydem rozmawia przez telefon z Paryża. Tylko zamiast Żyda będzie aktywny zwolennik opozycji.

Jeśli zaś chodzi o „obronę wspólnoty”, to Ludwik Dorn powiedział ciekawą rzecz: że opozycja nie broniła dorobku III RP jako wspólnoty losu. Wydaje mi się, że było wręcz przeciwnie. Zarówno liderzy opinii, jak i politycy PO bronili III Rzeczypospolitej w sposób szkodliwy, bo utwierdzali społeczeństwo w przekonaniu, że opozycji zależy na tym, aby wróciło to, co było wcześniej. Odwoływano się bowiem do sentymentu beneficjentów transformacji, a zarazem do resentymentu wobec tych, którzy albo projekt III RP zakwestionowali od strony prawej, czyli zwolenników PiS-u, albo, co gorsza, wobec pokolenia młodszego. Dla niego zaprojektowano taką mniej więcej opowieść: „nie wiecie, jak nam kiedyś było ciężko, dlatego wam się w głowach przewracało od tego dobrobytu”.

W naszych dyskusjach padało kilka razy nazwisko Władysława Gomułki. Pod koniec swoich rządów podkreślał on, że nie rozumie młodego pokolenia: że np. młodzi robotnicy z FSO się skarżą, bo mają w szafie tylko trzy koszule, a przecież on w ich wieku miał tylko jedną. O co im chodzi?!

Na tej samej zasadzie dziś argument, że „kiedyś było gorzej”, jest empirycznie prawdziwy, dałoby się go uzasadnić na gruncie socjologii gospodarczej, ale jest to argument przeciwnie skuteczny politycznie.

Nikt w młodym pokoleniu nie ma ochoty słuchać o tym, że rodzicom było ciężiej, więc teraz młodzi powinni być zadowoleni z tego, co mają.

Opowieść pozytywna o III RP, mówiąca o tym, że trzeba docenić wysiłek i dorobek tych, którzy budowali polski sukces gospodarczy po 1989 roku, działałaby na młodych tylko i wyłącznie pod warunkiem, że potraktujemy ją jak zamknięty, „pionierski” rozdział. I uznamy, że teraz jesteśmy w zupełnie innym miejscu niż 30 lat temu, i myślimy o tym, co będzie w przyszłości. Taka narracja mogłaby pogodzić z „rodzicami” pokolenie, które ma zupełnie inne warunki życia i inne determinanty sukcesu życiowego niż kiedyś.

To musi jednak działać na dwie strony: młodsze pokolenie mogłoby uznać, że proces przemian był skomplikowany, dokonał się w trudnych warunkach, i że z tego względu nie warto w czambuł potępiać autorów transformacji za wszystkie błędy. Jednak rewersem tego dealu byłoby założenie, że dziś patrzemy w przód i zastanawiamy się, jak odpowiedzieć na wyzwania współczesnego kapitalizmu – wedle współczesnej wiedzy i doświadczeń, a nie doktryn z lat 90. Ostatnio ukazała się książka Jakuba Sawulskiego⁹ o tym, jakie są warunki społeczno-ekonomiczne funkcjonowania pokolenia rówieśników transformacji. Myślę, że to może być pouczająca lektura dla pokolenia naszych rodziców.

Ostatni wątek: chciałbym zoperacjonalizować to, co powiedziała Elżbieta Korolczuk. Jako czynnika zwycięstwa PiS w 2015 roku nie doceniamy tego, że Jarosław Kaczyński w pewnym sensie zaaranżował opowieść o walącym się świecie. To nie był kryzys realny, ale „fakt medialny”. Prezes PiS mówił: opozycja zamiata pod dywan kryzys starego świata liberalnej Europy. Unia sobie nie radzi, tracimy kontrolę nad tym, co się dzieje, np. przepuszczając tłumy uchodźców przez granice.

Jarosław Kaczyński podważył w ten sposób fundamentalne przesłanki narracji Platformy Obywatelskiej, czyli to, że jesteśmy wciąż aspirującymi Europejczykami i chcemy być częścią *mainstreamu* unijnego. Aranżując ten kryzys retorycznie, jednocześnie głosił: „Ja wiem, co z tym zrobić”, wskazał wyzwanie i obsadził się w roli tego, kto przed nim nie ucieka. Podobnie jak Orbán: „Świat się wali, moje rozwiązania może nie są idealne, ale ja przynajmniej przyznaję, że jest kryzys, i proponuję jakieś rozwiązanie”. Jednocześnie Platforma Obywatelska ze swoją zachowawczą narracją w sprawie uchodźców w domyśle przyznała rację Kaczyńskiemu i pokazała się jako strona, która niby widzi problem, jednak nie ma odwagi na niego odpowiedzieć równie zdecydowanie jak prezes PiS.

Co z tego wynika dla opozycji na dziś? Mamy przed sobą realne kryzysy, nie trzeba ich aranżować: kryzys klimatyczny, który objawia się choćby falą upałów i tym, że w Skierniewicach nie ma wody. Kryzys demograficzny, który objawia się tym, że nie ma osób do opieki nad starszymi i będzie ich brakowało jeszcze więcej. A skoro mamy do czynienia z symptomami namacalnymi dla ludzi, to trzeba je odpowiednio opowiedzieć, i opozycja musi się zaprezentować jako ta formacja, która widzi kryzysy, ma rozwiązania, a tymczasem partia rządząca nie tylko nie potrafi, ale w ogóle nie chce się nimi zająć.

Biorąc pod uwagę, że symptomy tych kryzysów – środowiska i starzenia się – są tak namacalne, PiS musiałyby w pewnym sensie wejść w rolę Platformy z 2015 roku, to znaczy po cichu przyznać, że rzeczywiście „są pewne problemy, ale nie dramatyzujemy”. Bo przecież z dnia na dzień rządzący dziś nie staną się awangardą walki z katastrofą klimatyczną, którą pracowicie od lat negują.

⁹ Jakub Sawulski, *Pokolenie '89. Młodzi o polskiej transformacji*, Warszawa 2019.

Zdaję sobie sprawę, że dla wielu polityków opozycji wydaje się to nadmiernie radykalne i ryzykowne, ale w naszej sytuacji przedwyborczej nie mamy wiele do stracenia. Można co najwyżej uciec do przodu i zaproponować coś nowego. Kolejnych wyborców tymi dwoma tematami się nie odstraszy, natomiast istnieje szansa, że ktoś z dotychczas niegłosujących, a zwłaszcza z młodszego pokolenia, może odnieść wrażenie, że ci politycy mają mu coś do zaoferowania.

Paweł Marczewski

Elżbieta Korolczuk i Michał Sutowski nakreślili cele długoterminowe, pod którymi obiema rękami się podpisuję, więc postaram się „krótkoterminowo”. Z badań Jarosława Flisa¹⁰ i analizy Jacka Raciborskiego¹¹ jasno wynika, że w sytuacji głębokiego podziału i polaryzacji politycznej jedyną szansą jest mobilizowanie własnego elektoratu albo elektoratu sympatyzującego. Postaram się odnieść do tego krótkoterminowego celu, pamiętając, że najlepsze byłoby przełamanie polaryzacji czy znalezienie nowych postulatów i nowego języka politycznego, wychodzącego poza istniejący podział.

Jeżeli chodzi o mobilizację własnego elektoratu, to jest prawdą – chociaż ignorowaną przez polityków – że paradygmat transformacji się skończył. Duża część elektoratu, która do niedawna głosowała na Platformę Obywatelską, oczekuje zmiany i wyjścia z jakimiś propozycjami. Sama Platforma wiedziała o tym podczas drugiej kadencji, gdy proponowała inwestycje w usługi publiczne. Był prekursor programu Maluch+ czy Orliki, było dużo podobnych inicjatyw, ale jednak za mało i za późno. Nie mówiąc już o tym, że takie inwestycje, jak reforma edukacji i sześciolatki w szkołach, były po prostu fatalnie komunikowane. Koronnym dowodem jest to, że blisko 80% wyborców Platformy popiera program 500+, który teoretycznie powinien być dla nich rozdawnictwem i marnotrawieniem publicznych pieniędzy. Widać, że coś się zmieniło. Polacy, także ci liberalnie nastawieni w różnych sferach życia – w tym gospodarczej – oczekują od państwa czegoś więcej i trochę inaczej.

Zamiast starać się przelicytować Prawo i Sprawiedliwość czy tworzyć własne programy transferów socjalnych, dobrze byłoby zaproponować wprowadzenie kryterium dochodowego przy 500+ bądź opodatkowanie 500+ w progresywnym systemie podatkowym. To byłby prawdziwy program redystrybucji, zabranie redystrybucyjnej piłeczki z pola prawicy i przywrócenie jej z powrotem na pole liberalno-lewicowe. To o tyle łatwiejsze, że po rozszerzeniu programu na każde dziecko prawica już nie może twierdzić, że jej flagowe świadczenie to polityka redystrybucyjna – zdecydowanie więcej dodatkowych środków z rozszerzonego 500+ trafi do 10% najbogatszych rodzin niż do 10% najbiedniejszych. Kryterium dochodowe wydaje mi się w tym momencie najprostszym rozwiązaniem, tym bardziej, że – jak pokazują badania samego elektoratu Platformy – w tej grupie wyborców jest to rozwiązanie powszechnie popierane. Myślę, że byłaby też szansa przekonania części lewicowych wyborców do takiego rzeczywistego redystrybucyjnego rozwiązania. Polacy nadal myślą o pieniądzach i transferach socjalnych bardzo moralnie, wręcz moralizująco. To z tego źródła wypływa rozpowszechniona narracja o korumpującym braku rozróżnienia między beneficjentami 500+, którym świadczenie pozwala poprawić sytuację życiową, a tymi, dla których jest jedynie przyjemnym dodatkiem do budżetu domowego. Na te obawy opozycja, zarówno liberalna, jak i lewicowa, może odpowiedzieć w sposób konstruktywny i konkretny.

10 Jarosław Flis, *Przyplawy sympatii i mobilizacji*, blogIdei, 30 maja 2019, http://www.batory.org.pl/forum_idei/blog_idei/jaroslaw-flis_przyplawy_sympatii_i_mobilizacji.

11 Jacek Raciborski, *Zakrzepnięcie PiS i AntyPiS. Klasa ludowa kontra średnia, minimalne przepływy*, OKO.press, 24 czerwca 2019, https://oko.press/zakrzepniecie-pis-i-antypis-klasa-ludowa-kontra-srednia-minimalne-przeplywy-analiza-raciborskiego/?fbclid=I-wAR2TMseBVPE8u3wmjL5XGiN406xVF44ROp7frgAvm_DudfMwbWGxx8_S0uc.

Marcin Matczak

Sukces Prawa i Sprawiedliwości jest związany z umiejętnym zarządzaniem narracją w parze pojęć chaos–porządek. Oni wskazują źródła chaosu albo je celowo kreują, a następnie proponują rozwiązania, które powodują, że ludzie czują się bezpieczniej, bo rząd wprowadza porządek. Przykłady: wskazują na kryzys uchodźczy jako źródło chaosu i pokazują, że porządkują ten kryzys, zamykając granice. Zarządzają chaosem w aspekcie „mikro”, np. w rodzinie wielodzietnej, poprzez to, że wprowadzają program 500+, który pozwala ludziom finansowo zapanować nad chaosem w ich życiu codziennym.

Ta para pojęć powinna kształtować działania opozycji. Trzeba zidentyfikować źródła chaosu, wobec których PiS nie proponuje rozwiązań porządkujących. Zgadzam się, że np. kryzys klimatyczny jest źródłem chaosu i ludzkich obaw, wobec którego oni nie proponują rozwiązania, a wręcz pogłębiają chaos.

Są jeszcze dwa obszary, gdzie PiS kreuje chaos, a nie porządek. Pierwszy to niszczenie praworządności – wyrzucanie sędziów i spór z UE w tej sprawie to kreowanie chaosu. Drugi to narracja antyeuropejska i antyunijna. Wspieranie Brexitu to narracja prochaosowa, a nie porządkująca, ona przecież burzy porządek dotychczasowy, a nie buduje. To są obszary, gdzie opozycja musi być aktywna.

Dowodem na siłę narracji porządkującej były wybory europejskie. Mobilizacja elektoratu PiS w maju była w pewnym sensie irracjonalna. Elektorat ten nie mógł niczego stracić w tych wyborach (np. 500+), a ludzie poszli w ogromnej mobilizacji głosować, chcąc ratować walący się świat wartości. Film braci Sekielskich i inne wydarzenia spowodowały dysonans poznawczy (zły Kościół), a tym samym chaos, którym trzeba było zarządzić, a PiS jest doskonały w nieracjonalnym zarządzaniu dysonansem poznawczym. Na przykład jeśli nie da się wyjaśnić racjonalnie katastrofy w Smoleńsku, co powoduje chaos w głowach, to oni wyjaśniają to zdarzenie nieracjonalnie (jako zamach). Ludzie to wyjaśnienie przyjmują, bo ono porządkuje świat: nie rządzi nim chaotyczny przypadek, ale jasna relacja między dobrem (ofiary) a złem (zamachowcy).

Jeżeli ta diagnoza jest właściwa, to narracja opozycji powinna być oparta na jednym założeniu: trzeba unikać kreowania chaosu i wprowadzać porządek tam, gdzie nie robi tego PiS. Zmasowany atak na Kościół, mówienie, że trzeba zdelegalizować tę organizację, jest wzmacnianiem chaosu – i na to PiS ma dobrą odpowiedź w postaci oferty porządku: „bronimy ładu aksjologicznego”. Dlatego trzeba unikać takiej agresywnej narracji. Narracja lewicy w obszarze LGBT może budować chaos, kiedy pokazuje: „jesteśmy inni niż wy”, a może budować porządek: „jesteśmy tacy sami, jak wy, i chcemy mieć to samo: szacunek dla takiej samej godności i takich samych praw”. Wybór między tymi sposobami narracji jest kluczowy. Trzeba pokazywać ludziom, w jaki sposób opozycja demokratyczna może wprowadzić porządek. Nacisk na ochronę praworządności, obecność Polski w Unii Europejskiej i ekologia to obszary, gdzie PiS rzeczywiście powoduje chaos, a nie porządek. Dlatego najlepiej nadają się do komunikacji z elektoratem, który ma wspierać opozycję demokratyczną.

Inną ważną sprawą wydaje mi się obniżenie poziomu emocji debaty publicznej. Spokój w narracji opozycji powoduje porządek, agresja w narracji powoduje chaos. Nie wolno kreować nowych okazji do tego, aby PiS mógł powiedzieć: „Zobaczcie, ktoś chce wprowadzić chaos, a my chcemy wprowadzić porządek”. To opozycja powinna być mocną siłą spokoju.

Tomasz Lis

Moim zdaniem należy podkreślać atmosferę i wyostrzać spór. Kaczyński to wie. On wyostrza i wygrywa. Zaprowadził swoich ludzi do urn. Bez dramatycznej zmiany dynamiki politycznej jest też niewielka szansa na zmianę przywództwa. Trzeba po stronie opozycji zastosować wariant Szydło. Najkrócej rzecz

ujmując: to musi być kobieta, gospodarz, samorządowiec. Resztę można sobie dopowiedzieć. Ten wariant umożliwi przynajmniej rozpychanie się na tyle, aby samorządowcom zagwarantować zajęcie na prawdę eksponowanych miejsc, a nie żeby grali ogony w tej sztuce.

Ludwik Dorn mówi, że trzeba docenić III RP nie opowieścią o drogach, stadionach, infrastrukturze, ale o tym, jak nieprawdopodobne dzieło wykonali Polacy i jak wiele udało im się osiągnąć. Według mnie samorządowcy mogą wykonać to zadanie. To oni przecież w znacznej mierze stworzyli tę infrastrukturę.

Magdalena Środa

Zgadzam się z Tomaszem Lisem. Spodziewałam się, że będziemy więcej mówili, po pierwsze, o tym, co trzeba zrobić przed wyborami, a po drugie, w jaki sposób przerzucić mosty między intelektualistami, którzy mają pomysły, a politykami, którzy otaczają się osobami mało kompetentnymi.

Pierwsza kwestia, czyli optymizm. Powoływano się tutaj na autorytety. Przywołam autorytet Hannah Arendt, która twierdziła, że cud jest możliwy w dwóch dziedzinach: w religii i polityce. A więc cud może być możliwy, tylko trzeba mu trochę dopomóc. Powinniśmy nad tym pracować.

Druga kwestia, czyli wyobraźnia. Marcin Król mówił o naturze ludzkiej i człowieku. Otóż nie ma czegoś takiego, jak natura ludzka, i nie ma czegoś takiego, jak człowiek – nikt go nie widział. Są kobiety, mężczyźni i – jak to powiedział pogardliwie pan Dorn – „dziwolągi”, mając zapewne na myśli gejów, choć dla mnie dziwolągami są raczej neofaszyści i kibole, nad którymi czułą opiekę roztoczył Kościół. Tymczasem geje i ludzie walczący o ich prawa, a także kobiety to wielkie rezerwuary obywatelskiej mobilizacji, której szukamy. Zląkł się ich nawet Kaczyński, kiedy rozpętując kolejną kampanię z udziałem wymaginowego wroga LGBT, zobaczył, jak wielka jest mobilizacja rodzin LGBT, które naprawdę – w przeciwieństwie do niego – chcą chronić swoje dzieci. To są środowiska ważne, jeśli chodzi o aktywność i opór.

A wracając do wyobraźni: wszyscy traktujemy Polskę jako w miarę normalny demokratyczny kraj, zagrożony autorytaryzmem. Tymczasem to jest kraj fundamentalizmu religijnego. Socjologowie zamiast badać tradycyjne grupy społeczne, powinni zająć się przede wszystkim badaniem ludności według diecezji i parafii. Więcej wtedy wiedzielibyśmy i o Polsce, i o obywatelach, którzy od dawna budują społeczeństwo kościelne. Kościół przejął społeczeństwo obywatelskie. I był to proces, któremu biernie przyglądały się – zdziwione teraz – elity. Cała nasza wspólnota już dawno (nigdy?) nie pasowała do kategorii, które stosuje się przy opisie nowoczesnych społeczeństw. Kaczyński odniósł sukces, bo o tym wie i wzmacnia to: żyjemy w państwie plebaniocentrycznym i rodzinocentrycznym. Cała transformacja ku temu pośrednio zmierzała. I nie uratujemy demokracji, jeśli nie zdamy sobie z tego sprawy.

Jeszcze jedna rzecz, o którą apeluję. Odwaga. Marcin Matczak mówił, aby obniżyć emocje. PiS wygrywa na silnych emocjach. My, demokraci, jesteśmy cholernie letni. Jedyne, co może spowodować, aby nasze wartości były bardziej sexy, to odwaga ich głoszenia. A my jesteśmy strasznie bojaźliwi. Ostatnio dyskutowałam na spotkaniu zorganizowanym przez Platformę Obywatelską dotyczącym szkolnictwa wyższego. Lena Kolarska-Bobińska zgłosiła propozycję, aby wyrównać wiek emerytalny kobiet i mężczyzn przynajmniej na uczelniach. W tej chwili sześćdziesięcioletnie kobiety mają prawo, a czasem obowiązek pójścia na emeryturę. Spotkała się z odpowiedzią, że to jest „za bardzo ideologiczne”. Właściwie każda propozycja była za bardzo ideologiczna. Mówiono: „Zobaczmy, co się stało przez LGBT, trzeba uciekać od ideologii”. Nie, nie trzeba uciekać od ideologii, jeśli wartości demokratyczne uznamy za ideologię. W moim przekonaniu tę ideologię powinniśmy odważnie i gorąco głosić.

Wiesław Władyka

Trzeba myśleć dwoma horyzontami: długim (to obowiązek akademicki) i krótkim, wobec nadchodzących wyborów – o czym powinniśmy porozmawiać osobno: jak się zmobilizować, jak się zachować, co robić. Zgadzam się z Andrzejem Lederem: jest to stan wyjątkowy. W stanie wyjątkowym nie ma żartów wobec zagrożeń podstawowej aksjologii istnienia wspólnoty państwa i prawa. Oni robią to, co obiecują. Cechą Jarosława Kaczyńskiego jest to, że mówi, co robi, i potem to robi. Po 2015 roku stało się to, co zapowiedział.

Druga uwaga. Mam pretensję do socjologów i całej nauki socjologicznej, że nie opowiedziały nam społeczeństwa, i ono nas bez przerwy zaskakuje. Wyniki wyborów w roku 2015 i 2019 są dla socjologów niespodzianką. Mam dość słupków, mierzenia, korelowania. Brakuje mi starej socjologii opisowej, antropologicznej, literackiej, która opowie to społeczeństwo. Ono jest jakoś inaczej ułożone, inaczej się zachowuje, inaczej reaguje, niż nam się wydaje w gabinetach. Proszę zauważyć, że szokiem po przegranych wyborach jest to, kiedy w obozie nie-PIS-owskim zaczyna panować jakaś ludomania, zaczynamy kochać elektorat, zwłaszcza ten nam przeciwny. Wstydzimy się pogardy. Moim zdaniem temu elektoratowi trzeba się przyjrzeć zimnym okiem: jaki jest stan świadomości i stan wiedzy, dlaczego można nim tak kręcić, jak to cynicznie robią politycy?

Przypominam sobie Jerzego Jedlickiego, który podczas audycji radiowej, kiedy miał już 83 lata, powiedział, że osobom powyżej 80 lat powinno się odebrać prawa wyborcze, a dać od 16. roku życia, tylko pod warunkiem, że wszyscy zdadzą egzamin obywatelski. Wybory są przywilejem, a nie obowiązkiem. Jedlicki proponował najprostszy egzamin, typu: „Jak Andrzej Duda ma na imię?”. Nie chodzi o to, aby wyborca to wiedział, tylko żeby wykazał wolę i stanął do egzaminu. To rozwiązanie amerykańskie, gdzie jest ukryta myśl – poszukiwanie bardziej świadomego wyboru politycznego, na którym nam powinno zależeć.

W 2014 roku podczas konferencji socjologicznej ukazało się kilka referatów, gdzie stwierdzano, że próżnia z 1979 roku, ponoć zanegowana w 1980, a powracająca po 1981, jest historyczną i strukturalną cechą naszego społeczeństwa i wcale nie minęła. Moim zdaniem Jarosław Kaczyński zrozumiał, że trzeba połączyć identyfikację na poziomie Boga, ojczyzny, honoru z identyfikacją Polski szwagrowskiej. Zbudował pionowy układ i pominął środek. Tymczasem ideałem demokratów i liberałów jest wypełnienie próżni socjologicznej społeczeństwem demokratycznym, państwowotwórczym, szanującym państwo. To inny projekt społeczeństwa i wspólnoty. Powinniśmy szukać wspólnotowego projektu, który konkuruje z projektem narodowo-katolicko-szwagrowskim.

Aleksander Smolar

Zacznę od końca, od pretensji do socjologów.

Była tu mowa o ostatnich wyborach i o mobilizacji w obronie wiary i Kościoła. W wynikach wyborów nie było obrony pedofilów czy innych korupcyjnych zjawisk w Kościele. Ludzie doskonale wiedzą, że pedofilia to zło, ale mieli poczucie, że jest kwestionowana ich tożsamość religijna i narodowa. W 2018 roku badania opublikowane przez Centrum Badawcze Pew (Pew Research Center) pokazały głęboką przepaść kulturową między Europą Zachodnią i Wschodnią¹². Wyraża się ona m.in. w tym, iż tożsamość religijna w naszej części Europy – a na pewno w Polsce – jest ważnym elementem tożsamości narodowej. Duża część społeczeństwa była przerażona tym, co się dzieje. Wydawało się, że Polska proeuropejska

12 *Eastern and Western Europeans Differ on Importance of Religion, Views of Minorities, and Key Social Issues*, Washington 2018, <https://www.pewforum.org/wp-content/uploads/sites/7/2018/10/Eastern-Western-Europe-FOR-WEB.pdf>.

i laicka idzie ku zwycięstwu, bowiem część prawicowa, silnie związana z Kościołem, została skompromitowana. Tymczasem skutki wyborcze były przeciwne. Jeżeli ta interpretacja jest prawdziwa, to błąd socjologów i innych obserwatorów wynikał ze złego odczytania prawdziwej stawki tamtych wyborów, tak jak była ona widziana przez dużą część społeczeństwa. Dla niej chodziło o Polskę i jej tożsamość, a nie o tożsamość Europy.

Drugi problem to stosunek Polski liberalnej i lewicowej do Polski PiS-owskiej. Poziom części społeczeństwa jest znany. W części społeczeństwa mamy do czynienia z niskim poziomem kultury demokratycznej i niskim poziomem akceptacji pluralizmu. Badania pokazują też silny konserwatyzm kulturowy i religijny dużej części Polaków. Jednak żyjemy w demokracji i z tego wynika zasada: „jeden obywatel – jeden głos”. Jeśli chcemy wygrywać w wyborach, to nie możemy od tego abstrahować i wyładowywać naszych frustracji w języku lekceważenia i pogardy. Problem ten istnieje od początku transformacji (nie mówiąc o znacznie wcześniejszych źródłach). Można przypomnieć popularność określenia *homo sovieticus* z początków transformacji. To, co było naturalną reakcją robotników w warunkach walącego się ich świata, przedstawiano często jako patologię. Ta pogarda wobec klasy ludowej odżyła ze zdwojoną siłą po objęciu władzy przez PiS, wraz z manifestowaną przez zwycięzców wrogością wobec „kast”, „korporacji”, „elit postkomunistycznych”, to znaczy ukształtowanych po 1989 roku.

To nieprzyjemna teza, ale nie jestem pierwszym, który ją formułuje: mamy antydemokratyczne tendencje z dwóch stron. Nie tylko ze strony sił nacjonalistycznych i populistycznych. Pogarda, w istocie klasowa, jest wyrazem antydemokratycznej postawy części klasy średniej i elit, co pociąga za sobą samobójcze następstwa, kiedy się pamięta strukturę demograficzną kraju i to, że w demokracji każdy obywatel ma jeden głos.

Parę słów o problemie wspólnoty. Wielu uczestników naszej dyskusji mówiło, iż sukces PiS-u wiązał się z silną więzią PiS-u z Kościołem katolickim. Na tym bazował język narodowo-katolickiej wspólnoty. Podobnie jest w przypadku wszystkich ruchów prawicowego populizmu. Jakie poczucie wspólnoty może zaproponować opozycja demokratyczna, kiedy język indywidualnego sukcesu nie może dzisiaj zapewnić w skali masowej poczucia sensu ani przynależności?

Podam dwa przykłady pozytywne, skądinąd oczywiste. Po pierwsze, mamy walkę o samorządy, które są teraz brutalnie atakowane ze strony prawicowej i ze strony Jarosława Kaczyńskiego. Co prezes PiS-u określił ostatnio jako dwa główne fronty walki? Jeden jest tradycyjny, światopoglądowy, narodowo-katolicki, a drugi dotyczy samorządności. Według Kaczyńskiego i jego propagandystów samorządy próbują rozbić państwo unitarne, dążą w istocie do podziału Polski, jeżeli nie do rozbiorów. To są kompletne brednie, ale pokazują, gdzie PiS widzi możliwe zagrożenie ze względu na autorytet i dokonania samorządów. Tu są podstawy prawdziwej wspólnoty, nowoczesnej wspólnotowości.

Drugi przykład to usługi socjalne. Paradoksalnie, ta rzekomo kolektywistyczna władza rozbija jakąkolwiek możliwą wspólnotę, dając pieniądze jednostkom, zamiast łączyć i integrować. Z jednej strony, umacnia narodową i katolicką wizję Polski, pozostawiając na zewnątrz ludzi, którzy się z taką wizją nie utożsamiają; z drugiej zaś – rozbija możliwość tworzenia wspólnoty poprzez zindywidualizowany charakter transferów społecznych.

Ostatnia uwaga dotyczy tezy o korzyściach płynących z chwalenia, dowartościowywania Polaków. To ważny postulat. Ale trzeba widzieć granice jego skuteczności. Pamiętam odpowiedź mojego francuskiego mistrza, Raymonda Arona, kiedy pytałem go, skąd się brał bunt 1968 roku i ówczesny wysoki

poziom niezadowolenia Francuzów: „Francja osiągnęła przez 30 ostatnich lat więcej niż przez poprzednie 150. Teraz patrzą na kraj i mówią: i to tylko tyle?”.

Obecnie widzimy podobny efekt w Polsce. Ludzie wiedzą, ile dobrego się stało. W 2015 roku ponad 80% Polaków mówiło, że są zadowoleni z życia, ale „to jest tylko tyle”. To, co zostało osiągnięte, już należy do przeszłości, pamięta się natomiast o cierpieniu, strachu, biedzie, nadużyciach, o bólu adaptowania się do nowej rzeczywistości po transformacji.

Dwa słowa na zakończenie. Nasza dzisiejsza debata wzbudziła wielkie zainteresowanie. Potraktujmy to jako wskaźnik potrzeby takich dyskusji: wznoszących się ponad codzienny, medialny poziom, wykraczających poza czysto polityczny dyskurs, pozwalających też na udział ludzi o różnych poglądach i z różnych środowisk się wywodzących. Postaramy się w przyszłości – ale już po wyborach – stwarzać szanse dla podobnych spotkań. Będziemy też wdzięczni za wszelkie sugestie dotyczące tematów i formy wspólnej refleksji.

Aneks

Przemysław Sadura

Opozycja jest w trudnej sytuacji. Prawo i Sprawiedliwość zalegitymizowało się transferami socjalnymi i programem budowy polskiego *welfare state*. Dla części wyborców PiS jest niezatapialny („kradną jak wszyscy, ale dzielą się jak nikt inny”). Koalicja Obywatelska i Lewica musiałyby powalczyć o wyborcę o niższym statusie i z prowincji, który odszedł do PiS, a zarazem zmobilizować wyborcę wielkomiejskiego, bardziej wyrobionego i liberalnego, a więc wrażliwego na kwestie światopoglądowe i praworządność.

W kampanii przed wyborami 13 października 2019 roku dominują kwestie dotyczące usług publicznych (zdrowie, rozwój programów kontynuujących 500+), choć nie wszystkich. Mało jest tematyki edukacyjnej, bo i nie ma energii pozwalającej na „odwieszenie” strajku czy przywrócenie tematu na agendę. Nie ma szans na międzysektorowe sojusze (nauczyciele, lekarze, rehabilitanci itd. czy szerzej sektor publiczny). Bardziej chwytliwy byłby protest rodziców i uczniów, do których dołączyliby nauczyciele, ale na to też się nie zanosi.

Obie opozycyjne koalicje wiedzą, że trzeba iść do kampanii z tematem usług, ale mają dość „imitacyjne” i reaktywne pomysły. Dotyczy to przede wszystkim Platformy Obywatelskiej (szóstka Schetyny zamiast piątki Kaczyńskiego, 1000+ w służbie zdrowia itd.). To się może skończyć blamażem.

Wyborcy nie zrezygnują z oczekiwań socjalnych. Nie tylko ostatnia konwencja PiS, ale cały okres rządów po 2015 roku pokazały, że sytuacja w Polsce dojrzała do tego, aby społeczeństwo dostało jakąś wersję państwa dobrobytu. Opozycja powinna zaproponować alternatywy dla rozwiązań PiS-u.

Lewicowa koalicja mogłaby zaproponować rodzaj *welfare state 2.0*, próbując przelicytować socjalnie PiS. Kluczowe byłoby zaproponowanie nowych rozwiązań, aby program nie był adresowany tylko do salariatu (pracowników etatowych). Musiałyby to być rozwiązania w stylu bezwarunkowego dochodu podstawowego, obejmujące pracujących na śmieciówkach prekariat oraz młodych. Wyzwaniem dla programu Lewicy są kwestie kulturowe. Jednak jeśli część socjalnych wyborców PiS z oporami głosuje na „rydzykową” prawicę, to dlaczego nie mieliby, choćby z obrzydzeniem, głosować na „tęczową” lewicę?

Platforma Obywatelska powinna podsunąć model państwa dobrobytu w wersji bardziej konserwatywnej, gdzie uprawnienia do świadczeń wynikają z pracy co najmniej jednego ze współmałżonków. To byłaby reakcja na powszechną wśród wyborców PO opinię, że 500+ nie powinno należeć się tym, którzy nie pracują i utrzymują się ze świadczeń socjalnych, jak i najbogatszym. Program łączący taką wizję państwa dobrobytu z postulatami kulturowymi względnie dla Polaków niekontrowersyjnymi – jak opodatkowanie Kościoła, równouprawnienie kobiet, gwarancja zachowania „kompromisu” aborcyjnego z dostępem do edukacji seksualnej i antykoncepcji oraz zapobieganie homofobii i dyskryminacji ze względu na orientację seksualną – mógłby liczyć na wsparcie większości społeczeństwa i stanowić demokratyczną alternatywę dla rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Noty biograficzne

Michał Boni (ur. 1954) – polityk, socjolog kultury, dr. W roku 1991 szef resortu pracy i polityki socjalnej, a w latach 1992–1993 jego wiceszef. Między 2008 a 2009 rokiem sekretarz stanu w KPRM. Od 2011 do 2013 roku minister administracji i cyfryzacji. Był poseł na Sejm i do Parlamentu Europejskiego.

Janusz Czapiński (ur. 1951) – psycholog społeczny, prof. dr hab., prorektor ds. nauki Akademii Ekonomiczno-Humanistycznej w Warszawie. Wieloletni wykładowca Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, członek Rady Społecznej przy Rzeczniku Praw Obywatelskich. Od 2000 roku kierował projektem badawczym Diagnoza Społeczna.

Ludwik Dorn (ur. 1954) – polityk, socjolog i publicysta. Działacz Komitetu Obrony Robotników, a następnie „Solidarności”. Był wiceprezesem współtworzonego przez siebie Porozumienia Centrum, a później Prawa i Sprawiedliwości. W latach 1997–2015 poseł na Sejm, w 2007 roku jego marszałek, a między 2005 a 2007 wicepremier oraz minister spraw wewnętrznych i administracji.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk (ur. 1984) – polityczka i działaczka społeczna, dr, kandydatka Lewicy w wyborach parlamentarnych i była członkini zarządu partii Razem. Ekspertka w dziedzinie edukacji, związana z Instytutem Badań Edukacyjnych i Ośrodkiem Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle'a. W 2016 roku za udział w organizacji Czarnego Protestu wspólnie z Barbarą Nowacką znalazła się na liście Foreign Policy Top 100 Global Thinkers.

Anna Gromada – ekonomistka i socjolożka, pracowniczka naukowa oraz doktorantka Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Ekspertka ONZ ds. polityki społeczno-ekonomicznej, członkini zarządu Fundacji Kaleckiego. Stypendystka Yale, Uniwersytetu Tokijskiego i Uniwersytetu w Oslo. Pracowała m.in. dla OECD, Kancelarii Prezydenta i francuskich *think tanków* rządowych.

Jacek Haman – socjolog, politolog, dr hab. Adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Ekspert forumIdei Fundacji im. Stefana Batorego. Zajmuje się metodologią badań społecznych, statystyką, teorią wyboru społecznego ze szczególnym uwzględnieniem systemów wyborczych oraz teorią gier i socjologią edukacji.

Janusz Jankowiak (ur. 1957) – główny ekonomista Polskiej Rady Biznesu. Wcześniej m.in. pracował dla BRE Banku, był redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej” i współpracował z Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych. Doraźną współpracę miał z wicepremierami i ministrami gospodarki Jerzemu Hausnerowi i premierowi Donaldowi Tuskowi.

Elżbieta Korolczuk – socjolożka i kulturoznawczyni, dr. Pracowniczka uniwersytetów w Göteborgu oraz Södertörn w Szwecji. Działa na rzecz praw kobiet, w swoich badaniach zajmuje się m.in. ruchami społecznymi, nowymi

formami obywatelstwa i debatami na temat nowych technologii reprodukcyjnych (*in vitro*). Przewodnicząca rady fundacji Akcja Demokracja, honorowa członkini stowarzyszenia „Dla Naszych Dzieci”.

Marcin Król (ur. 1944) – historyk idei, prof. dr hab. Wykładowca Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Przewodniczący Rady Fundacji im. Stefana Batorego. W czasach komunistycznych współpracował z opozycją, współtworzył podziemne pismo „Res Publica” (obecnie wydawane jako „Res Publica Nowa”) i był jego redaktorem naczelnym. Był członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, uczestniczył w rozmowach Okrągłego Stołu.

Andrzej Leder (ur. 1960) – filozof kultury i psychoterapeuta, dr hab. Pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Medycznej. W 2015 roku wydał książkę *Prześlona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*, która została nominowana do Nagrody Literackiej Nike oraz Nagrody Historycznej im. Kazimierza Moczarskiego.

Tomasz Lis (ur. 1966) – dziennikarz, od 2012 roku redaktor naczelny tygodnika „Newsweek”. Od początku lat 90. był dziennikarzem telewizyjnym, początkowo w TVP, następnie w TVN i Polsacie. W latach 2010–2012 kierował redakcją tygodnika „Wprost”.

Paweł Marczewski (ur. 1982) – historyk idei, socjolog, tłumacz i publicysta, dr. Szef działu Obywatel w forumIdei Fundacji im. Stefana Batorego. Wcześniej związany z wiedeńskim Instytutem Nauk o Człowieku i Instytutem Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Członek redakcji „Przeglądu Politycznego”, stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”.

Mirosława Marody (ur. 1947) – socjolożka, prof. dr hab. Wykładowczyni Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego i członkini rady naukowej Instytutu Studiów Społecznych im. profesora Roberta Zajonca. Członkini rzeczniczki Polskiej Akademii Nauk, była wiceprezes Prezydium Akademii.

Marcin Matczak (ur. 1976) – prawnik, dr hab. Profesor na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, partner w kancelarii Domański, Zakrzewski, Palinka. Członek Zespołu Ekspertów Prawnych Fundacji im. Stefana Batorego, stowarzyszenia im. prof. Zbigniewa Hołdy i rady programowej Archiwum Osiatyńskiego.

Marek Migalski (ur. 1969) – politolog, publicysta polityczny i polityk, dr hab. Adiunkt w Instytucie Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W latach 2009–2014 poseł do Parlamentu Europejskiego. Po odejściu z polityki w 2014 roku powrócił jako kandydat Koalicji Obywatelskiej do Senatu w wyborach 2019.

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz (ur. 1970) – dyrektorka forumIdei Fundacji im. Stefana Batorego. Socjolog i politolog, dr. Zajmuje się polityką europejską i wschodnią Polski. W latach 1999–2012 zastępczyni dyrektora Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie. Od 2012 do 2014 roku wiceminister spraw zagranicznych, a między 2014 a 2016 rokiem ambasador RP w Federacji Rosyjskiej.

Andrzej Rychard (ur. 1951) – socjolog, prof. dr hab. Dyrektor Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. W latach 1995–2006 wykładowca w Central European University. Członek Komitetu Socjologii Polskiej Akademii Nauk i Rady Fundacji im. Stefana Batorego.

Przemysław Sadura (ur. 1977) – socjolog, publicysta, dr. Adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, wykłada także na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Członek zespołu Krytyki Politycznej, współtwórca fundacji Pole Dialogu. Ostatnio wydał (ze Sławomirem Sierakowskim) raport na temat cynizmu politycznego Polaków.

Krystyna Skarżyńska (ur. 1946) – psycholożka, prof. dr hab. Kieruje Pracownią Psychologii Politycznej Instytutu Psychologii Polskiej Akademii Nauk. Prowadzi badania nad postawami i zachowaniami politycznymi oraz nad kapitałem społecznym w Polsce.

Aleksander Smolar (ur. 1940) – politolog, od 1999 roku prezes Fundacji im. Stefana Batorego. Emerytowany pracownik naukowy francuskiego Centre National de la Recherche Scientifique. Współtwórca i redaktor naczelny emigracyjnego pisma „Aneks”. Współzałożyciel i członek Europejskiej Rady Stosunków Międzynarodowych (ECFR).

Michał Sutowski (ur. 1985) – politolog, tłumacz i publicysta. Sekretarz redakcji pisma „Krytyka Polityczna”. Koordynator Instytutu Studiów Zaawansowanych. Jest autorem wywiadów-rzek z Agatą Bielik-Robson, Ludwiką Wujec i Agnieszką Graff.

Magdalena Środa (ur. 1957) – filozofka, etyczka i publicystka, dr hab. Działaczka na rzecz praw kobiet. Profesorka w Zakładzie Etyki Instytutu Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 2004–2005 była pełnomocniczką rządu ds. równego statusu kobiet i mężczyzn. Członkini rady programowej Kongresu Kobiet.

Andrzej Waśkiewicz (ur. 1963) – socjolog, dr hab. Dyrektor Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego i profesor tej uczelni. Specjalizuje się w historii myśli społecznej i politycznej. Autor wielu publikacji naukowych, w tym książki *Paradoksy idei reprezentacji politycznej* (2012).

Wiesław Władyka (ur. 1947) – historyk i publicysta, prof. dr hab. Od wielu lat związany z „Polityką”, były szef działu krajowego tego tygodnika. Ostatnio wspólnie z Mariuszem Janickim wydał książkę *Brat bez brata. Dokąd prowadzi Polskę Jarosław Kaczyński* (2019).

Jacek Żakowski (ur. 1957) – dziennikarz, publicysta „Polityki” i kierownik Katedry Dziennikarstwa w Collegium Civitas. W latach 1989–1990 rzecznik prasowy Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, a od 1991 do 1992 prezes Polskiej Agencji Informacyjnej. W latach 1993–2003 publicysta „Gazety Wyborczej”.

Fundacja im. Stefana Batorego

Sapieżyńska 10a
00-215 Warszawa
tel. (48-22) 536 02 00
fax (48-22) 536 02 20
batory@batory.org.pl
www.batory.org.pl

Teksty udostępniane na licencji Creative Commons. Uznanie autorstwa na tych samych warunkach

3.0 Polska (CC BY SA 3.0 PL)



Redakcja: Piotr Kosiewski,
Izabella Sariusz-Skąpska

Warszawa 2019

ISBN 978-83-65882-55-4